

PRZEDPŁATA:

W Petersburgu wynosi rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2. Z przesyłką pocztową w Cesarstwie, Królestwie i zagranicą: rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 k. 50. Ogłoszenia po kop. 15 od wiersza drobnym drukiem. Nra pojedynczo 20 k. «Kraj» wychodzi w niedzielę rano

KRAJ

ADRES

Redakcyi i kantoru: «Редакція нашого газети «KRAJ» въ Петербурѣ, Наомыя Б. Театра 10». Kantor otwarty w dni powszednie od god. 10 r. do 3 p. **Warszawska agencja KRAJU** (Rajchman i Frencler, Senatorska, 18) przyjmuje ogłoszenia z Królestwa i zagranicy, przedpłatę zaś wyłącznie z Warszawy.

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

W dzisiejszym N-rze jest stronie 20.

NA ROK 1883.

«KRAJ» w roku bieżącym 1883 wychodzić będzie pod obecną redakcją i na dotychczasowych warunkach.

Przedpłata wynosi:

W Petersburgu	Z przesyłką pocztową
Rocznie . . . 8 rs.	10 rs.
Półrocznie . . . 4 »	5 »
Kwartalnie . . . 2 »	2 » 50 k.

Upraszamy o wczesne wysyłanie przedpłaty, tym bowiem tylko sposobem będziemy mogli uniknąć nieporządku i opóźnienia w wysyłaniu pisma.

Odnawiający przedpłatę raczą przysłać opaskę z drukowanym adresem, pod którą «KRAJ» otrzymują.

Za najdogodniejsze dla nas i prenumeratorów naszych w cesarstwie i królestwie uważamy przesyłanie pieniędzy bezpośrednio pod adresem Redakcyi (Редакція газети «KRAJ» въ С.-Петербургѣ). Wyjątek stanowi prenumerata miejska w Warszawie, która składaną być winna w naszym kantorze filjalnym (Rajchman i Frencler, Senatorska, 18).

Petersburg, 22 stycznia 1883.

Parcelacja dóbr większych w Królestwie polskim na rzecz drobnej własności, reprezentowanej przez zagrodową szlachtę i włościan, jako objaw ekonomiczny najświeższej daty, wywołuje nie tylko wiele sporów za i przeciw w prasie krajowej, lecz staje się powodem pewnego konfliktu między instytucjami publicznymi. Fakt ten wymownie świadczy, że parcelacja nie zdobyła sobie jeszcze prawa obywatelstwa nie tylko w sferze pojęć, lecz i w praktycznym stosowaniu. Mówiąc o nowej kodyfikacji praw Towarzystwa kredytowego ziemskiego, zaznaczyliśmy, że Towarzystwo zamierza wystąpić odpornie przeciwko rozdrabnianiu własności większej i w tym celu postanowiło na przyszłość, usunąć od korzystania z kredytu posiadaczy rozparcelowanych majątków. Obecnie «Gazeta Sądowa» podaje ciekawe szczegóły o stanowisku wydziału hipotecznego warszawskiego w obec parcelacji. W okresie lat 1874—1880 parcelacja dóbr obciążonych długami nie uzyskiwała zatwierdzenia w miejscowym wydziale hipotecznym bez wpływu i zezwolenia wierzycieli, szczególnie zaś Towarzystwa kredytowego, choćby nawet zasada niepodzielności hipoteki nie była gwałconą. Takie zachowanie się wydziału hipotecznego spowodowane było cyrkularzami Kom. rząd. sprawiedliwości z 1871 r., zabraniającymi rejentom przyjmowania aktów kupna sprzedaży na rzecz zbiorowych nabywców dóbr, zastawionych Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu bez zezwolenia władz tegoż Towarzystwa. Po czawszy od lipca 1880 r. jurisprudence

wydziału hipotecznego ulega zmianie. «Gazeta Sądowa» podaje następujące objaśnienie tej zmiany:

W czerwcu 1880 r., jeden z notaryuszów sporządził akt sprzedaży dóbr, obciążonych pożyczką Tow. kred., na rzecz zbiorowych nabywców niepodzielnie. Wydział hipoteczny uznał, że akt ten zawiera, a raczej pokrywa rozprzedaż majątku na części bez zezwolenia Tow. kred., że czyn notaryusza w obec reskryptów Kom. rząd. sprawiedliwości z 1871 r., należy uznać za nieprawny. W skutek tego zwierzchność hipoteczna, na zasadzie art. 250 organ, wł. sąd., doniosła o postępkę notaryusza ogólnemu zgromadzeniu sądu okręg. za pośrednictwem prezesa sądu. Ogólne zgromadzenie w d. 6 lipca uznało: że wydział hipoteczny bezzasadnie uznał akt, sporządzony przez notaryusza za akt częściowej rozprzedaży; że akt ten jest aktem sprzedaży niepodzielnej; że chociażby nawet został sporządzony akt parcelacji, nie byłby on przeciwnym prawu, ponieważ nie należały do kategorii aktów, zabronionych przez art. 90 Ustawy notaryalnej, że rozporządzenia Kom. rząd. spraw., odnoszące się do podwładnych jej magistratur i urzędników, od czasu wprowadzenia reformy sądowej i zmiany stosunków istniejących przed reformą między instytucjami sądowymi i administracyjnymi — nie mają żadnej mocy obowiązującej dla obecnych sądów i członków obecnego sądownictwa — mogą być tylko przyjmowane pod uwagę o tyle, o ile zgadzają się z obowiązującymi obecnie prawami, że wzmiankowane cyrkularze Kom. rząd. spraw. nadają Tow. kredytowemu taki przywilej, jaki mu z prawa nie przysługuje i jaki nigdy z samego prawa żadnemu wierzycielowi hipotecznemu w ogólności nie przysługiwał. Z tych względów ogólna zgromadzenie wydziałów sądu okręgowego postanowiło, domieszczenie wydziału hipotecznego pozostawić bez skutku.

Od tego czasu akta parcelacyjne zawierają się bez przeszkód. Strony interesowane nie apelowały przeciwko decyzji warsz. sądu okręgowego, z powodu małej nadziei uzyskania odmiennej decyzji w drodze apelacyjnej, a może i dlatego, że wierzyciele nie czują się zagrożonymi przez parcelację, która ich prawom nie szkodzi. Co do nas wątpimy bardzo, żeby można było przeprowadzić w przyszłości odpowiednie zmiany prawodawcze, uchylające wywody wypowiedziane w przytoczonej decyzji sądu okr. warsz. Objawy ekonomiczne nie tyle bywają szkodliwe w samej zasadzie, ile w zastosowaniu. Wadliwość przeto ekonomiczna praktykowanego w Królestwie rozdrabniania większej własności na szachownice, może być usunięta, nie drogą tamowania przechodzenia dóbr od własności większej do mniejszej, lecz opaniem prądu parcelacyjnego przez odpowiednią instytucję kredytową prywatną.

Na karb tejże parcelacji «Gaz. Polska» wkłada powiększenie cen na ziemię, w Królestwie, jakie szczególnie miało miejsce po r. 1876. Aczkolwiek przyczyną wskanego zjawiska były częściowo: upadek waluty i wynikię ztąd podrożenie produktów rolnych, wszelako nie w tak wielkim stosunku, jak dawna cena ziemi do terażniejszej. Najważniejszym czynnikiem, jaki położenie to wywołał, była parcelacja. Dawniej, oprócz obcych nabywców nikt prawie nie stawał w liczbie konkurentów do zakupu ziemi, tak, że właściciele gruntów, zwłaszcza mniej urodzajnych i gorszego gatunku, mieli niemały kłopot przy pozbywaniu się ich. Rozbudzona, po uwłaszczeniu, u tak zwanej drobnej szlachty i włościan, chęć do nabywania ziemi

zmieniła te stosunki. Skutkiem napływu nowych drobnych nabywców, wiele bardzo majątków przeszło w ich ręce, tak dalece, że według świadectwa «Gaz. Polskiej», zdarzają się niemal całe powiaty tylko przez drobnych właścicieli osiedlone. Jednakże z powodu upadku cen na zboże, w ostatnich czasach, wielu drobnych właścicieli straciło na kupnie, inni nawet pbankrutowali, tak, że obecnie rwanie się do nabywania ziemi u drobnych właścicieli znacznie ostygło, czego najlepszym dowodem, że ze sprzedażą ziemi, nawet na dogodnych warunkach coraz dziś trudniej.

Petersburg, 22 stycznia.

○ W ubiegły wtorek, d. 18 (30) stycznia, otwarty został w Warszawie, na mocy zezwolenia rządu, pod prezydencją rady tajnego Josse, pierwszy wiec przemysłowców górniczych w Królestwie polskim. Do współdziału w zjeździe wezwani zostali wszyscy właściciele kopalni i fabryk Królestwa i w ogóle przemysłowcy górniczy, oraz przedstawiciele dróg żelaznych przewożących wyroby górnicze. Według opracowanego i zatwierdzonego przez władzę programu, rozprawy tego wiecu głównie dotyczą następujących kwestyj: 1) o środkach zaradczych ku podniesieniu eksploatacyi i środków przewozowych paliwa kopalnego z tak zwanego polskiego zagłębia węglowego; 2) o powiększeniu wytwórczości surowcu, żelaza i stali; 3) o podniesieniu hutnictwa cynkowego i ołowianego; 4) o urządzeniu szkoły sztygarów, to jest niższych stopni specjalnych techników kopalnianych; 5) o utworzeniu dla robotników górniczych stowarzyszenia emerytalnego, oraz kas wsparcia. Z powyższego wynika, że zjazd będzie radził: najpierw, nad potrzebami głównych gałęzi górnictwa krajowego, dalej nad podniesieniem dobrobytu ludności górniczej krajowej i nareszcie nad wytworzeniem w kraju odpowiednio przysposobionych majstrów górniczego fachu. Wszystkie te kwestye są bardzo ważne i zasługują, żeby bliżej zastanowić się nad ich znaczeniem, w związku z obecnym rozwojem krajowego górnictwa.

Przemysł górniczy Królestwa polskiego dotąd głównie produkuje żelazo, cynk i węgiel kamienny. Inne bogactwa ziemi leżą prawie odłogiem i oczekują na przyszłych pracowników. Górnictwo Królestwa koncentruje się przeważnie i wyłącznie w dwóch okolicach kraju, w powiatach będzińskim gub. piotrkowskiej, w którym znajdują się najznakomitsze dąbrowieckie kopalnie, w olkuskim w kieleckiej, z jednej strony i w okolicach Kielc i guberni radomskiej z drugiej. Podług zebranych przez nas u źródła wiadomości, wydobyto węgla kamiennego w roku 1881 z 26 kopalni 85½ mil. pudów. Maszyn parowych czynnych było 99 o sile 6,263 koni parowych. Robotników pracowało w ogóle 6,235. Co do liczby zakładów, posiadamy cyfry tylko z roku 1880, chociaż i te nie są bardzo zgodne. Podług sprawozdań urzędowych, w roku tym czynnych było fabryk żelaza 31 z produkcją roczną 1,275 mil. pudów.

Podług dat, zebranych przez dra J. Banzemera, było 166 zakładów przemysłowych żelaznych z produkcją 11¹/₂ mil. rs. Inne wytwory górnictwa, jako to, cynk, ołów i t. d. mają, odnośnie do węgla i żelaza podrzędne znaczenie. W ogóle w kopalniach Królestwa pracowało w 1880 roku 17,388 robotników, licząc w to kobiety i dzieci.

Ogólny stan górnictwa krajowego wiele jeszcze pozostawia do życzenia, chociaż przyznać trzeba, że w ostatnich latach zrobiliśmy pod tym względem znaczne postępy. **Bez wątpienia, żelaza produkujemy jeszcze nader mało, — można by go wytwarzać znacznie więcej, rud żelaznych mamy mnóstwo, potrzeba żelaza ogromna; ale inaczej rzecz się ma z węglem kamiennym, który w przemyśle górnictwa Królestwa zajmuje pierwsze miejsce. Posiadamy w kraju wzorowo prowadzone kopalnie, co się zaś tyczy postępu w produkcji, to ocenić go można z porównania następujących cyfr. W ciągu ostatnich lat ośmiu, cyfra dobowanego węgla rosła w następującym stosunku (w mil. pudów): 24,5: 25,3: 27,6: 38,3: 55,3: 66,2: 77,4: 85,7, czyli że w ciągu lat ośmiu produkcja węgla potroiła się. Rozpowszechnione również w naszej prasie zdanie, jakoby węgiel krajowy nie wystarczał na miejscowe potrzeby, nie jest uzasadnione. Na poparcie tego zdania przytaczamy następujące dane statystyczne, za autentyczność których ręczymy.**

W r. 1880 wyprodukowano węgla w Królestwie Polskiem pudów 77,395,923.

Głównemi konsumentami węgla były (i są) następujące punkta przemysłowe:

	pudów.
Warszawa otrzymuje i zużywa rocznie	25,650,000
Łódź	17,400,000
Buda-Guz.	4,430,000
Pniewo	3,685,000
Kutno	3,000,000
Zawiercie	2,550,000
Łowicz	2,530,000
Ostrowy	2,240,000
Inne, nieznaczące punkta, razem	2,000,000

Razem węgla pudów . . . 63,485,000

Produkcja przeto przewyższyła konsumpcją o całe 14 milionów pudów, które poszły na drogi: warszawsko-petersburgska, terespolka, nadwiślańska, moskiewsko-brzeska, i południowo-zachodnie, — z wyjątkiem tej, stosunkowo nieznaczącej, ilości paliwa, która w miejscowych

w Dąbrowie fabrykach zużyta została. Wprawdzie do Królestwa polskiego wchodzi ogromna ilość węgla z kopalń pruskich i austriackich (w r. 1880 przez komory w Sosnowcu i Granicy, weszło do Królestwa 20,157,135 pudów węgla), lecz okoliczność ta nie wpływa na zmianę powyższych wniosków, przytoczone bowiem drogi żelazne prawego brzegu Wisły wywożą z kraju większą jeszcze ilość tego paliwa.

Takie jest rzeczywiste położenie przemysłu węglowego w Królestwie. Jest to stan tylko względnie pomyślny, wiele jeszcze naturalnie zrobić wypada, zanim dojdzie do takiego rozwoju, na jakim stoją chociażby sąsiednie szlaki kopalnie. Jednakże stan górnictwa budzi jeszcze pewne obawy z innej strony, mianowicie wskutek coraz więcej wzmagającego i rozwielmożniającego się żywiołu obcokrajowego, który niejako wyklucza tę miejscową ludność od korzystania z bogactw własnej ziemi. Po zreorganizowaniu skarbowego górnictwa, niektóre kopalnie zaczęły przechodzić w prywatne ręce, przeważnie obcokrajowe, do tych rąk dostały się także nowo-otwarte kopalnie. Naturalnie, nie byłoby w tem jeszcze nic dalece szkodliwego dla kraju, jeżeliby nowonabywcy zechcieli korzystać z miejscowych bogactw, wespół z obywatelami kraju. Lecz w wielu razach działo się inaczej. Przedsiębiorca nietylko przychodził sam, lecz wiodł za sobą całą administrację i nawet robotników. Tym sposobem tworzyła się nowa kolonja, która nie zrywała stosunków ze swoją zachodnią ojczyzną i przenosiła niejako nowy zakład za granice kraju, gdzie zwykle koncentrował się główny zarząd nową placówką. Zastrzegamy się, że nie mamy przeciwko przyływowi obcych przemysłowych elementów, lecz pod warunkiem, że osiadły cudzoziemiec zechce być obywatelem kraju, w którym znajduje lepszy byt, a często i bogactwo, i że nie będzie się starał odsuwać miejscową ludność od własnych środków zarobkowania i życia. Sądymy, że terazniejszy zjazd górniczy zbliży niejako wszystkich przedsiębiorców z sobą i z krajem.

Wynalezienie środków dla zabezpieczenia bytu robotników górniczych, objęte programem zjazdu, zdaje się niejako dowodzić, że rozwój każdego przemysłu wi-

nien iść w parze z dobrobytem ludności, poświęcającej jej swoją pracę. **Specyjalnie zaś, zajęcie górnika zasługuje na większe uwzględnienie, z powodu ciężkiej pracy i licznych niebezpieczeństw. Nie ulega wątpliwości, że zjazd naszych górników załatwi tę kwestyę po ludzku i ze zrozumieniem korzyści, jaka płynie dla całego kraju i dla odnośnej gałęzi przemysłu, od względnego nawet dobrobytu klasy robotniczej.**

Co się zaś tyczy utworzenia niższej szkoły górniczej, sędzię wypada, że wiec nie będzie miał dużo z tem kłopotu. W Banku polskim znajduje się w depozycie suma, którą na urządzenie szkoły sztygarów w Dąbrowie użyć można. Suma ta powstała w sposób następujący: Jak wiadomo, do roku 1830 istniała w Kielcach szkoła górnicza, która miała w liczbie swych profesorów znakomitych nawet ludzi, a krajowi dała bardzo wielu zdolnych i użytecznych techników. W r. 1827 powstał projekt przeniesienia tej szkoły z Kielc do Warszawy, gdzieby zakład ten mógł mieć więcej zasobów naukowych. Obywatel Konstanty Wolicki ofiarował dla umieszczenia szkoły w Warszawie swą posesję w tem mieście. «Koszyki» zwana; gdy jednak takowa uznana została za nieodpowiednią dla powyższego celu, kupiono inną posesję «Nowa-Wieś» i tam miano szkołę górniczą umieścić. Nim jednak nastąpiło przeniesienie szkoły, takowa w r. 1830 zupełnie zwinięta została, nieruchomości «Koszyki» sprzedano, posesję zaś «Nowa-wieś» podzielono na oddzielne kawałki gruntu i takowe naprzód w wieczystą dzierżawę, a następnie na wykup różnym osobom oddane zostały. Pieniądze, ze sprzedaży «Koszyków» i «Nowej-wsi» uzyskane, złożono do Banku polskiego, gdzie zostawały i zostają dotąd, jako depozyt wydziału górnictwa. Ilość powyższej kwoty wraz z procentami wynosi obecnie około 35,000 rubli i o użytkowanie tej to właśnie sumy na rzecz mającej powstać szkoły sztygarów, postanowiono starać się u właściwej władzy.

Były minister dóbr państwa, książę Liwen, któremu rzecz cała przedstawiona została, podzielał w zupełności, jak się zdaje, konieczność urządzenia w Królestwie polskiem szkoły sztygarów, mającej

ODCINEK «KRAJU»

BAŃKA MYDLANA

obrazek

EL. ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Po tem badawczem spojrzeniu, zwiędle mi usta uśmiechnęła się uprzejmie, a w kwadrans później, Anna włożywszy jej w rękę pończochy i posadziwszy ją na stołku, zawiązała się sama około ognia, garnków i rądlów. Stara uśmiechając się i naprzemian wdychając, wnet opowiadać zaczęła o minionych dostatkach swych, nieboszczyku mężu i szczególnie trzech swoich synach, których utraciła, a po jednym z których została jej ta właśnie Andzia, gimnazistka, przyjaciółka Helki Skiwskiej, poczem wstała, wyszła i do matki gotowaniem zajętej przyproszowała Jancię. Anna, schyliła się i pomarszczoną, drżącą od starości, a więcej może od przeżytych kolei życia, rękę starej do ust przycisnęła.

— Pani moja! błagalnie szepnęła, całe życie przeżyłaś tu, znajomych musisz mieć wielu... jeżeli gdzie dowiesz się o sukniach, albo o bieżnię do szycia... zarekomenduj mnie... szyję dobrze... a tak bardzo... bardzo... zarobku potrzebuje!

Stara, bystro znowu i ciekawie w twarz jej popatrzała. — Męża podobno masz, rzekła. I nad drutami pończochy z niezadowo-

leniem wstrząsając głową, dodała: Nie lubię, kiedy kobiety porzucają mężów!

Anna, ciasto jakieś przyrządzając, milczała dość długo, potem, z pochyloną głową i zwilżonemi znowu oczami, odpowiedziała:

— Nie zrobiłam nic złego, ale... widzi pani... wolałabym nie mieć roboty i z głodu umrzeć, niżeli historję tę po świecie rozpowiadać.

— To znaczy, po chwili zastanowienia rzekła stara, że na męża skarżyć się nie chcesz... podoba mi się to... jednakowoż musiał ci on sporządzić... porządnego psikus-a, jeżeli tak z dzieckiem...

— Wcale nie; z żywym rumieńcem przerwała Anna; jest on najlepszym, najrozumniejszym i najpoczciwszym człowiekiem w świecie!

Stara uśmiechała się z zadowoleniem.

— No, rzekła po chwili, postaram się, abyś miała robotę. To nic, że biedną teraz jestem, alem tu wiek mój zbyła i całe miasto znam. Znam nietylko biednych, ale i bogatych. Jak zawezmę się, salopinę włożę, do znajomych pójde, to i roboty ci dostarczę... No, wielkich sum zarabiać nie będziesz, ale na kawałek chleba... Tymczasem, jeżeli pieniądze nie masz, mogę ci przez czas jakiś obiady na kredyt dawać...

Po kilku minutach, wyprostowana na stołku swym, z pończochą na kolana opuszczoną, opowiadała znowu o trzech swych synach.

— Jeden, najstarszy, po ojcu warsztat

stolarski wziął, rzemieślnik z niego był artystyczny, ożenił się, wiodło mu się pysznie, pani moja... Kiedy kilkanaście lat temu, ta burza u nas powstała, rzucił wszystko, poszedł i już nie powrócił... Drugi, ślicznie edukowany, urzędnikiem został; ale miejsce mu odebrali, rady sobie z familją dać nie mógł, desperował, pani moja, powiem prawdę, że rozpił się i nakoniec biedaczysko umarł. Po nim to została mi ta sierotka, Andzia! Trzeci na doktora sposobił się, już akademię ukończył, ale... razem z tamtym, stolarzem, poszedł i nie powrócił. Tamtych niema już na świecie, pani moja, a ten żyje jeszcze, żyje i doktorem sobie jest, i często gęsto co może to mi przysyła, ale mieszka daleko... het, na Zachodzie gdzieś... daleko! daleko!

Kiedy ostatnie wyrazy wymawiała, oczy jej błękitne niegdyś, teraz spłowiałe lecz jeszcze błyszczące, z pod drżących powiek, żalownie patrzyły kędyś daleko... daleko... Ale wkrótce uśmiechać się zaczęła.

— Po najstarszym, pani moja, to jest po tym stolarzu, został mi wnuk, Ignas... Przez całuteńkie gimnazjum go przeprowadziłam i do uniwersytetu wysłałam, i uczy się sobie teraz na prawnika... śliczne chłopiętko!... Jeżeli pani pomieszkaż u nas do lata, to go zobaczysz, bo na wakacje przyjeżdża do mnie zawsze i ot, za ośm miesięcy już przyjeździe... przyjeździe...

Mówiąc to uśmiechnęła się gwałtownie, potem triumfalnie dłońmi po kolanach uderzała,

bezwątpienia potężnie wpłynąć na losy krajowego górnictwa; ze względu jednak, że powyższy zakład naukowy przynosić będzie głównie korzyść prywatnym przedsiębiorcom górniczym, polecił właściwym inżynierom okręgowym skomunikowanie się z nimi, celem powzięcia wiadomości, czy ze względu na materialną swą korzyść, nie chcieliby przyjąć udziału w wydatkach na utrzymanie powyższej instytucji. Odpowiedź, otrzymana od właścicieli zakładów, była jaknajbardziej zadowolniającą, wszyscy prawie przemysłowcy górniczy zgodzili się w zasadzie na przyjęcie udziału w wydatkach na utrzymanie szkoły, i tylko stosunek, w jakim takowe ponosić mieli, postawili w zależności od głównych warunków, na podstawie których szkoła istnieć miała, a które to warunki dotąd zupełnie były jeszcze nie naszkicowane. Opracowano więc projekt ustawy przyszłej szkoły sztygarów w Dąbrowie, w głównych zarysach, i takowy ma być poddany dyskusji na najbliższym wiecu przemysłowców górniczych w Królestwie polskim.

Według projektowanej ustawy, wykład w szkole sztygarów ma być podzielony na dwa kursa, ogólny I-szy, i specjalny II-gi, jak to ma miejsce we wzorowym tego rodzaju zakładzie, istniejącym w mieście Tarnowskie-Góry (Tarnowitz) na Szląsku. Dla wstąpienia na kurs I-szy wymaganem będzie, żeby kandydat miał nie mniej 18 lat wieku i żeby, prócz świadectwa z ukończenia kursu nauk szkoły elementarnej, zdał wstępny z niektórych przedmiotów egzamin. Na ogólnym (I-szym) kursie mają być wykładane, w zakresie odpowiednim zadaniu szkoły, nauka religii, języki rosyjski i polski, matematyka, fizyka, chemia, mineralogja, górnictwo, budownictwo, miernictwo, geografia, historia, buchalterya, kreślenie, rysunek i kaligrafja; na drugim zaś, specjalnym kursie, prócz powyższych nauk, z wyjątkiem mineralogji, geografji, historii i kaligrafji, ma się jeszcze wykladać geognozya, mechanika i prawo górnicze. Wydatki na utrzymanie szkoły, które tu przytaczać szczegółowo uważamy za zbyt znaczne, obliczone zostały na 10,900 rs. rocznie, w przypuszczeniu, że szkoła mieścić się będzie w jednym z gmachów rządowych w Dąbrowie, na co, prawdopodobnie, nastąpiłoby zezwolenie władzy górniczej.

Oprócz powiększenia ogólnej ilości zakładów naukowych w Królestwie polskim, projektowana szkoła sztygarów ma bardzo ważne znaczenie z tego względu, że przygotowuje dostateczną ilość krajowych majstrów i przyczyni się do zmniejszenia przyływu fachowców z zagranicy, co teraz, w braku dostatecznie uzdolnionych ludzi na miejscu, jest do pewnego stopnia nieodzownem.

Pierwszy wiec górników Królestwa polskiego budzi nadzieję, że wyjdzie on na wszechstronna korzyść tej ważnej gałęzi przemysłu, korzyść dla niej samej i dla całego kraju. Życzymy też pracom zebranych obecnie w Warszawie górników najlepszego powodzenia.



Wypadkiem dnia jest mowa, wygłoszona przez prezesa rady miejskiej (gołową) miasta Moskwy, prof. Czyczeryna, na obiedzie wydanym przez b. studentów uniwersytetu moskiewskiego. Fakt ten tem większego nabiera znaczenia, że po znanej historii z kandydaturą barona Korfa do rady szkolnej moskiewskiej, trudno było oczekiwać od p. Czyczeryna zajęcia samodzielnego stanowiska w obec projektowanej przez «Mosk. Wied.» reformy uniwersyteckiej. Oto główne ustępy tej mowy:

«Uroczystość obecna zebrała ludzi różnych pokoleń, kierunków, obozów, w imię jednego uczucia, uczucia miłości ku instytucji, która nas wychowała. Nigdyśmy nie zobojętnieli na jej losy i radością lub smutkiem spotykamy każdy jej krok nowy. Dziś możemy się oddać pocieszającemu uczuciu: gdy w tylu zakładach wyższych były zaburzenia, uniwersytet moskiewski pozostał spokojny. Próżne były podburzenia z zewnątrz. Poznaje tu studentów moskiewskich, którzy pozostali takimi jakimi byli za czasów, gdy miał zaszczyt być ich profesorem. Przed 20 laty, gdy obejmował katedrę, rozruchy uniwersyteckie miały też miejsce, lecz rada uniwersytecka moskiewska silnie obstawała za porządkiem i prawem, bezład ustąpił i przez długie lata spokój zamącony nie został. Młode, gorące głowy łatwo się zapalają, lecz również łatwo ulegają radom rozsądku, gdy te są poparte odpowiednią powagą. Dowodzi to, że przyczyny zaburzeń szukać należy nie w instytucjach, lecz w duchu panującym w nich i otaczającej je sferze. W czasie, o którym mówię, nie istniała jeszcze spotwarzona ustawa 1863 roku, która

się stała obecnie kozłem ofiarnym, dźwigającym wszystkie grzechy, grzechy podwładnych i zwierzchników, tych ostatnich szczególnie. Wówczas obowiązywała ustawa 1836 roku, rektor nie był nawet obieralny lecz mianowany przez władze, a jednak nieporządki się zdarzały.

Następnie p. Czyczeryn dowodzi, że ustawę 1863 r. rozbił w radzie uniwersyteckiej moskiewskiej przedtem zanim stała się obowiązującym prawem. Rada ówczesna była zupełnie przejęta duchem porządku, prawa, lecz zarazem i liberalizmem. Był to duch «ustawy» 19 lutego, duch, który wytworzył instytucje ziemskie i «ustawę miejską». «Byliśmy przekonani, i co do mnie jestem nim do dzisiejszego dnia, że uniwersytety, więcej niż ziemstwa i miasta, potrzebują ochrony od samowoli administracyjnej. Gwarancję tę dano im. Ustawa 1863 r. uprawniała niezależność korporacji uniwersyteckiej. Niezależność, panowie, jak wszystkie co ludzkie, może wydać dobre i złe owoce, stosownie do tego jak będzie użyta; lecz nie ma wątpliwości, że tylko z pomocą swobody zdobyć można silny autorytet moralny nad uczącą się młodzieżą; służalstwo wyradza tylko dwie ostateczności: niemoc lub opór. Nadając siłę prawną niepodległości korporacji, ustawa 1863 r. nie zmniejszała znaczenia władzy. Widzieliśmy jasno, że tylko przy zgodnem działaniu korporacji uniwersyteckiej i kontrolującej ją władzy, uniwersytet osiągnąć może porządek moralny, który stanowi o życiu wszystkich zakładów naukowych. Niestety, zamiast działać w tym kierunku, chcą zniszczyć nawet grunt, na którym owa skojarzona podwójna działalność dokonałaby się mogła, chcą obalić ustawę 1863 r. i zastąpić ją czemś nowem, nieznanem u nas. Co wyniknie z tego wszystkiego, nie wiemy. Ciężymy się tylko nadzieją, że uniwersytet przetrwa tę próbę, jak przetrwał inne. W każdym razie, zachowując spokój wśród ogólnego wzburzenia, studenci uniwersytetu moskiewskiego dowiedli, że porządek w murach uniwersyteckich zależy nie od ustaw, lecz od ducha, który wśród nich panuje. Oddali przez to usługę i uniwersytetowi i Rosyi».

W Niemczech, w prasie polskiej i niemieckiej, toczy się obecnie, ważna i mająca szersze znaczenie, dyskusya w sprawie wniosku deputowanych polskich do sejmu o przywrócenie językowi polskiemu w W. ks. poznańskim tych praw, jakie mu zapewnione zostały rozkazami gabinetowemi króla praskiego i uchwałami jego namiestników. «Do-

nakoniec, z cichym, głębokim chichotem, od którego drżała chustka, na piersi jej skrzyżowana, powtórzyła:

— Przyjedzie! przyjedzie!

Anna, przestała wałkować ciasto i ramieniem o róg pieca oparta, z twarzą w dłoni, gwarzenia starej słuchała z wielkiem zajęciem. Ze skupioną uwagą patrzyła na tę wysoką, cienką kobietę, o przygarbionych plecach, wysokiem czołe, białych włosach i ognistych oczach, od piersi której oderwało się trzech dorodnych synów, aby na różne sposoby zginać dla niej na zawsze, a której jednak nie zbrakło siły do wprowadzenia w świat dwóch znowu istot młodych, do rozwijania na grobach nowego kwiatu życia i nadziei.

Życia i nadziei pełnemi były dwa te ubogie mieszkanki. Przedstawiały one widok warsztatu niby, na którym wyrabiała się przyszłość... Robota łatwą nie była. Nocami, Anna widywała często, jak po kilkogodzinnem czytaniu, pisaniu, uczeniu się, Józefa z siłą obrana, w odzieży dziennej upadała na łóżko i niewiedząc sama jak i kiedy usypiała ciężkim i niespokojnym snem. Na troskliwe wymówki i rady Anny odpowiadała nazajutrz, że musi uczyć się długo i wiele jeszcze, aby mózgi za dwa lata, kędyś w wielkiem mieście na północy czy zachodzie, dawanem lekcyj zapracowywać na utrzymanie swoje i siostry. Kiedy o tem mówiła, wyraz radośnej nadziei oblewał bladą twarz jej gorącym światłem. Zwierzyła się Annie, że

Helkę prowadzić chce drogą naukową, sposobie ją na lekarkę. Zawód to poważny, już przez kobiety z powodzeniem wypróbowany, zdolnościom i chęciom dziewczęcia odpowiedni. Kiedyś, kiedyś, przy siostrze, która niezależny i użyteczny byt sobie zdobędzie, odpocznie i o własnej przyszłości pomyśli. Tymczasem ani jednej minuty za własność swą nie uważając, w szare ranki jesienne wybiegała z domu i w ciemne wieczory wracała, aby po paru godzinach spoczynku zasiąść znowu przy lampie nad drukowaniami i zapisanemi szpargałami i późno bardzo usypiać, aby wstać bardzo wcześnie. Były dni, w których zdawała się upadać na siłach, pogoda jej nikła, a zastępowała ją posepna zaduma. W szubce zlanej deszczem, w zmoczonej chustce na włosach, z migotliwym płomykiem latarenki nczepionej do guzika szubki, dla przyświecania krokom jej w ciemnym labiryncie ubogiej dzielnicy miasta, wbiegała do mieszkania zwykłym sobie żywym krokiem, lecz ciężko oddychając, z blademi ustami, słabła i chwiejąc się zaledwie dojść mogła do kanapki, przy której Anna czekała ją z przygotowaną już herbatą. W chwilach takich, patrząc na nią, Anna pomimowoli mówiła:

— Moja ty biedna Józio! jak też ta twoja młodość przechodzi! bez przyjemności, bez zabawy, prawie bez odpoczynku!

Józefę słowa te oblewały rumieńcem. Zdać się mogło, że wstyd jej było wzywać

współczucia choćby najbliższych. Żywo przeżywała Annie.

— Nie żałuj mi, Andziu; o! proszę cię, nie roztkliwiaj się nademną! Cóż mi znowu tak bardzo złego? Obejrzyj się dokoła! Każdy z nas żyje i pracuje nie tak jak chce i jakby mu zdolności jego pozwalały, ale jak może... jak może! Jakież mam prawo żądać dla siebie nadzwyczajności?

— Ależ, nieśmiało dodawała jeszcze Anna, ta wasza praca książkowa bardzo ciężka...

Tym razem Józefa, żywym ruchem za rękę ją chwytając. Oczy jej zapalały się.

— Nie, Andziu, nie! nie ubliżaj nauce! Jest ona zdrowiem, siłą, szczęściem... Gdybyś wiedziała, jak ją bardzo, bardzo pokochać można! Tylko, że teraz...

Tu zamyslała się i z posepnością, która młodemu czołu jej i ognistym oczom nadawała wyraz tragiczny, po chwili milczenia kończyła.

— Tylko że teraz, na drodze tej, wszystko jeszcze dla nas tak trudno, nie w porę, drogo, daleko...

A po chwili pogodniej już dodawała:

— Kiedyś, będzie inaczej!

Wyraz ten wymawiając, patrzyła przez wpółotwarte drzwi do kuchenki, na dwie młodzieńcze głowy dziewczęce pochylone nad książkami, czasem poważne i w pracy porażone, czasem pobladłe i zmęczone, ale zamieniające z sobą szepty pełne uśmiechów.

browolnie półurzędowa» prasa niemiecka w Poznaniu, dla której stan wyjątkowy jest najwygodniejszym, broni go naturalnie wszystkimi wysiłkami dyalektyki. «Jesteśmy, powiada *«Posener Zeitung»*, za temi rozporządzeniami, ponieważ stwierdziły doskonale swą wartość i niema najmniejszego powodu, aby je zmieniać. Tym rozporządzeniem w szczególności jest do zawdzięczenia, że w naszej prowincyi znajomość niemieckiego języka pomiędzy dorastającą polską generacją z własną ich korzyścią bardzo znacznie postąpiła, a tem samem nastąpił znaczny krok naprzód, aby naszą prowincyą coraz ściślej z ogólną niemiecką ojczyzną połączyć, do której już przecież należy. Nadto położyły owe rozporządzenia ostateczny koniec praktykowanej przedtem na szeroka skalę polonizacyi niemieckich dzieci przez szkołę.

«Dzien. Poznański», w spokojnie i z godnością napisanym, artykule wstępnym, wykazuje całą nicosć moralną takiego podporządkowywania specyficznym interesom chwili, wszystkich społecznych i cywilizacyjnych interesów narodu i tak kończy:

«Ma jednakże jeszcze argumentacya *«Posener Zeitung»* pod względem faktycznym jedną, bardzo słabą stronę, na którą nietylko w chęci polemizowaną z nią, ile raczej w chęci zwrócenia baczonej uwagi naszej społeczności, a mianowicie naszej sejmowej reprezentacyi, ponowny, a szczególnie kładziemy przycisk. Nie wchodźmy w rozbiór kwestyi, o ile zadaniem naszej szkoły ludowej, czy nie ludowej, jest dla własnego dobra wiedzających ją uczniów znajomość języka niemieckiego. Co jednakże wiemy z częstego, a najbliższego doświadczenia bardzo dobrze, to, że rozporządzenie naczelnego prezesa z dnia 27 października 1873 r., pod tym względem właśnie nie okazało wartości i skuteczności, jaką jej przypisuje optymizm *«Posener Zeitung»*. Przekonywamy się stanowczo, że istotna znajomość niemieckiego języka nie powiększyła się wcale pośród naszych młodszych generacyi szkolnych przez system, wprowadzony w życie dzięki wspomnianemu rozporządzeniu. Dzieci nasze nie niemieczą mimo to, przeciwnie mamy liczne dowody, że znajomość dokładna i poprawna niemieckiego języka znajdowała się pośród naszych generacyi szkolnych na wyższym stopniu, dopóki instrukcyja z dnia 24 maja 1842 r. dopuszczała uczniowi dojrzeć i rozwinąć się przez wykład w zrozumiałym i przystępnym sobie języku, a obcy mu język niemiecki stał się dopiero przedmiotem nauki starsze-

go nieco wieku i więcej rozwiniętych pojęć. «System obecny nie germanizuje więc naszych dzieci, ale, co niewątpliwie czyni, pozostawia ich nie ukami».

Do tych słów «Dziennika Poznańskiego», słuszności których z ogólnopedagogicznego stanowiska dowodzić, zdaje się, nie trzeba, dodamy ze swej strony, że belgijska izba deputowanych dała w tych dniach piękny przykład «liberalnym» Niemcom, uchwalając w dniu 23 b. m., 94 głosami przeciw 2, projekt do ustawy, pozwalającej na to, aby w okolicach z ludnością flamandzką językiem wykładowym w szkołach średnich był język flamandzki. Nadto 58 głosami przeciw 43, przyjęto wniosek posła Devigne, aby w oddziałach przygotowawczych, przyłączonych do państwowych szkół średnich wykładano nauki w językach flamandzkim i francuzkim, aby uczniowie mieli sposobność kształcenia się w obu językach i słuchania później z korzyścią lekcji języka francuzkiego.

Korespondencye «Kraju».

Cieszyn, 22 stycznia.

Nareszcie stała i sprawa szlązka na porządku dziennym. Szlązki po pięciowiekowej niewoli narodowej zaczyna oddychać. Duch narodowy, przechowany w głębi, w ludzie, przetrwał wieki i dziś potężnie i rozwija się. Cała potęga niemieckiego kulturytrągerstwa nie zdola go w pochodzie powstrzymać. Dziś bracia nasi, za obrębem naszego kraju, ujmują się naszej niedoli i wieidskie koło polskich posłów podjęło sprawę naszego równouprawnienia. Wprawdzie dotychczas mało, bardzo maluczko działo dla nas, gdyż prócz znanego, tak zwanego, rozporządzenia językowego, które minister Prażak wydał dla sądów szlązkich, nie więcej nie otrzymaliśmy. Rozporządzenie to wypadło nadto bardziej na korzyść czeskiej, aniżeli polskiej ludności. Otuchę czerpiemy jednak w tem, że koło polskie naszą sprawę się interesuje, że więc wymienioną koncepcyją się nie zadowolni, lecz, że pójdzie dalej i stanowczo będzie żądało od rządu wymiaru sprawiedliwości dla nas. Nasi narodowi posłowie na sejm krajowy, a mianowicie Cienciało, Swieży i Fendynsky, podali wraz z przedstawicielami Czechów opawskich memoriał na ręce Grocholskiego do koła polskiego, w którym to memoriale wyluszczone są narodowe żądania polskiej i czeskiej ludności naszego kraju. Żądania te zawierają następujące punkta: 1) żeby sądy na pod-

nia, wnoszone w polskim lub czeskim języku, w tym samym języku odpowiadały i wyroki wydały; 2) żeby w polskich i czeskich gminach wszędzie w szkołach ludowych wprowadzonym został język polski, a względnie czeski jako wykładowy; 3) żeby w Cieszynie urządzono polskie, w Opawie czeskie seminarjum nauczycielskie; 4) żeby w Cieszynie urządzono polskie, w Opawie czeskie gimnazjum, a jeżeliby na razie sprawiło to trudności, żeby przynajmniej w średnich szkołach szlązkich uczono języka polskiego, a względnie czeskiego jako przedmiotu przymusowego; 5) żeby władze polityczne prowadziły z polskimi i czeskiemi gminami korespondencye w polskim, a względnie w czeskim języku. Koło polskie dotychczas jeszcze nie obradowało nad naszym memoriałem, ale niezawodnie uczyni to już w najbliższym czasie i bez wątpienia uzna słuszność wszystkich naszych żądań, zwłaszcza, iż takowe są skromne i uzasadnione. Czesi opawscy wysłali także sam memoriał do koła czeskich posłów. Ci obradowali już nad nim i postanowili porozumieć się z kołem polskim w tej sprawie, ażeby prawdopodobnie wspólnie z ostatniem rozpocząć rokowania z rządem.

Sprawa szlązka, jako sprawa dotycząca małego kraju z ludnością półmilionową, może się wydawać na pierwszy rzut oka mniej ważną. Tak nie jest jednak bynajmniej. Bez wszelkiej bowiem przesady posiada sprawa szlązka niezmiernie dużo ważności tak dla Polaków, jak i dla Czechów. Szlązki, lubo kraj mały, szczyli się stosunkowo najwyższą oświatą pomiędzy krajami austriackimi. U nas wynosi procent nieumiejących czytać i pisać 4 od sta. Prócz tego mamy szeroko rozwinięty przemysł i rolnictwo, piękne, choć nie duże miasta, miasteczka i wsie, ożywione ruchem handlowym. Lud nasz jest zamożny, pracowity i oszczędny, a to wszystko samo przez się dodaje krajowi naszemu wiele wagi. Lud ten, lubo od pół tysiąca lat od polskiej macierzy oderwany i na pastwę zmiennych kolei rzucony, raz niemieczony, to znowu czeszczony i znowu niemieczony i czeszczony, przetrwał wszystkie burze losu, które po nad jego głowami szumiały i zachował w nieskazitelnosci klejnot mowy ojczyściej. Szlachta, księża, a po części i miasta poniemczyły, lud pozostał polskim tak jak był przed laty tysiącem. Duch narodowy spoczywał w jego łonie, w głębi jego duszy, niby to zaklęty w jakich podziemiach, aż oto od lat kilkadziesiąt, od roku 1846, zaczął się budzić i krzepić. Z ludu polskiego wyszła polska inteligencya, która jednak bynajmniej od-

Wstawiała i ozywiona, wesola znowu, na palcach zakradłszy się, dłońmi zakrywała oczy siostry, wołając:

— Kto to? zgadnij!

Dziewczeta zrywały się ze stołków, po kilkogodzinnem niewiedzeniu witały starszą przyjaciółkę; w kuchence brzmiały całusy, śmiechy i głośnie wzajemne opowiadania. Zima nadeszła; szubka Józefy, wracającej z lekcyi, biała bywała od okrywającego ją śniegu, a u piersi jej rzadziej już migotał płomyk latarki, bo ulice miasta świeciły białymi torami. W mieście karnawał kipiał, po ulicach dzwoniły tłumne kuligi, po domach brzmiały muzyki i tańce. W małym mieszkaniu, zasuniętem w głąb dziedzińca, w sobotnie wieczory, kiedy przed niedzielą można było dłużej zasnąć i pozwolić sobie kilka godzin przepróżnować, dokoła stołu przed kanapką rozlegały się gwarne rozmowy. Przy wesołym świetle sporej lampy, w wieczory te, nietylko już Anna szyla, ale i Józefa i dwie gimnazystki szły także, wyporządkując i odświeżając swą odzież. Cztery pary rąk poruszały się żywo, błyskając igłami, czworo ust, przezuwając suche bułki i zapijając je złotą wodą, noszącą nazwę herbaty, poruszały się w zwawej rozmowie. Wtedy, zawsze prawie, otwierały się drzwi od sionek i do pokoju wchodziła wysoka, przygarbiona kobieta w białym czepcu na siwych włosach, w obu pomarszczonych rękach niosąc przysmak jakiś: salaterkę z dymiacem kartofiami, albo kółko smażonej kiełbasy, albo ta-

lerz z pączkami własnej roboty. Powitana chóralnym okrzykiem, stawiała przysmak na stole i nieodmiennie, z tym mimowolnym uporem starców, wciągała jedno i to samo powtarzających, zapytywała Annę. — A co? dostarczyłam ci roboty? Prawda? Masz robotę?

Potem, podawała Józefie trochę wina w staroświeckim kieliszku i gderać zaczynała.

— Mało śpisz, mało jesz, dużo pracujesz. Zdrowie stracisz... i teraz już wyglądasz jak owsianka...

Potem jeszcze gładziła dłonią włosy dwu młodych dziewcząt i swoim trzęsącym się trochę głosem, przypominała im chłopską przypowieść o jakimś ojcu, który synowi swemu mawiał:

— Ucz się synku, ucz się! królem będziesz!

A gdy już wszystkich nakarmiła, napoiła, wygderała i napomniała, siadała w kącie pokoju, jaknajdalej od lampy, której światło raziło oczy jej, latami i przelanemi łzami zmęczone, i, szybko migocące drutami półczochy, rozpoczynała wiekuiste swe opowiadania o trzech swoich synach. Po chwili druty przestawały migotać, a w cieniu etazerki piętrzącej się książkami widać było wysoką, cienką postać w białym czepcu, wysokie, żółte, pomarszczone czoło i spłowiałe, lecz jeszcze ogniste, oczy załośnie patrzące w dal, a trzęsący się trochę głos przewlekłe powtarzał:

— Tamtych nie ma już na świecie, a ten żyje, ale daleko... daleko... daleko!...

Potem raźniej i z cichym chichotem ten sam głos mówił jeszcze:

— Po tamtym został mi wnuk... przez gimnazjum go przeprowadziłam i dalej wysłałam... śliczne chłopiętko... za cztery miesiące już przyjedzie do mnie... przyjedzie... przyjedzie!

IV.

W zimowy i karnawałowy wieczór Mirewicz o szarej godzinie siedział sam jeden w mieszkaniu swoim i głęboko zamysłony, kołysał się zwolna w długim krześle na biegunach, umieszczonem wśród wazonowych roślin, tworzących rodzaj altany. Teraz w sztywnym i pustym wprzód saloniku była altana z wazonowych roślin i wśród niej długie kołyszące się krzesło, a tu i ówdzie różne sprzęty i sprzączki, w malowniczym nieładzie ustawione. W zmroku i ciszy, przy miarowym stukaniu biegunów, Mirewicz nieruchomym wzrokiem wpatrywał się, w zawieszony przed wyobraźnią jego, wielki znak zapytania. Znak ten posiadał kształty i rysy pięknej kobiety, mającej z przodu wisioriki złocistych włosów, a z tyłu chmurę białych batystów. Jaka to dziwna była historia z temi jej lekcyami muzyki i języków! Zwykły i gorący zapal jej do pracy po wyjeździe Anny dosięgnął 80 stopnia termometru Reaumura. Błagała o dostarczenie jej uczenic i póty nie zaznała spokoju, do-

pnia, z którego wyszła, nie oddzieliła się, ale wspólnie i ucziwie nad podniesieniem i niecenieniem poczucia narodowego w masach ludowych pracowała. Na Szlązku nie mamy wprawdzie polskiej szlachty, nasi Stonawscy, Sulkowscy, Larysze i inni dawno już pomarli, niemniej przeto jesteśmy wzorowo zorganizowanym i żywotnym narodem, mającym lud i inteligencję, wsie i miasta duchem narodowym ożywione i węzłem braterstwa w jeden zastęp zespolone. Sądzę, iż nie popełnię niedyskrecyi twierdząc, że takiego polskiego narodu jak u nas, niema nigdzie zresztą na polskich ziemiach. My bowiem, chociaż bez szlachty, mamy lud żmorny i oświecony, a w tej masie leży też niespożyta siła narodowa. Nadto posiada sprawa szlązka i inną jeszcze doniosłość. Stanowi ona bowiem pod pewnym względem wyłom w przesadnych historycznych pojęciach, które po za obrębem *status quo* z przed r. 1772, nie widzą, gdzieindziej polaków, chociaż polacy są gdzieindziej także, są tam może dzielniejsi jeszcze, jak gdzieindziej, i co najglówniejsza chcą polakami pozostać. Podniesienie polskiej narodowości na Szlązku austriackim musi też korzystnie oddziaływać i na sąsiedni pruski Szląz, gdzie jest przeszło milion polskiej ludności, prawie w pół na w pół zaprzepaszczonyj. I tej braci nie wolno dać upaść, zwłaszcza, iż ostatnimi czasy i u niej zaczyna duch narodowy kielkować.

Nadto posiada Szląz, jako kraj łączący Galicyę z Morawją i Czechami, z tego też powodu nie małą doniosłość. Jest on rodzajem mostu słowiańskiego, łączącym bratnie słowiańskie kraje wśród powodzi niemieckiej. Bez słowiańskiego Szlązku nie mieliby polacy z czechami żadnej terytoryalnej łączności i szczególnie czesi tworzyliby poniekąd wyspę słowiańską w morzu niemieckiem. Lecz jak z jednej strony Szląz jest już samem swem geograficznem położeniem powołany łączyć ze sobą dwa bratnie plemiona, tak znowu z drugiej strony, położony pomiędzy Polską a Czechami, mógłby on stać się kością niezgody pomiędzy obydwojma narodami, jeśliby czesi, opierając się na prawie historycznem, usiłowali czeszczyźnie nadać panujące stanowisko w naszym kraju. A tak dzieje się niestety. Dowodem tego jest wymienione powyżej rozporządzenie językowe ministra Prażaka, które zapewnia znacznie większe korzyści językowi czeskiemu, aniżeli polskiemu. My szlązcy polacy mamy ważne powody obawiać się czechizacji. Ludność bowiem naszego kraju była pierwotnie czysto polską, zarówno w księstwie cieszyńskiem

jak i w opawskim. W ciągu stosunków Szlązku z Czechami zaczęła u nas czeszczyzna robić postępy. Tym sposobem zepsuł lud polski w Opawakim, a nawet w części Cieszyńskiego, język tak dalece, iż czesi go do swego ludu zaliczają. Do niedawna używał lud w całym Szlązku czeskich ksiązek do nabożeństwa, po kościołach śpiewano i miało kazania w czeskim języku, a w szkołach ludowych wykładano również w czeskim języku. Nienaturalny ten i polską ludność wielce krzywdzący stosunek trwa poniekąd jeszcze dotychczas. Dla tego musi u nas być przedewszystkiem ściśle rozgraniczenie pomiędzy polskim a czeskim językiem, przeprowadzone na tej podstawie równouprawnienie obydwojch języków unormowaniem. W tym kierunku przytoczę pewne dane. Księstwo cieszyńskie dzieli się na ośm powiatów sądowych, z których w bielskim, strumińskim, w skoczowskim i jabłonkowskim ani jednej niema gminy czeskiej, ani też ludność nigdzie nie mówi po czesku tylko czysto po polsku, a jeżeliby gdzie była jaka osoba mówiąca po czesku, to przybyła tam z Czech albo z Morawy i mieszka tam chwilowo, np. jako urzędnik, robotnik i t. p. Powiat frysztacki jest także czysto polskim. W niektórych jednak wsiach tego powiatu, a mianowicie w czterech, w Orłowej, Dąbrowej, w dolnej i górnej Suchej, jest w szkole ludowej język czeski językiem wykładowym, pomimo tego, że ludność jest polska. Dawniej prawie w całym księstwie Cieszyńskiem był w szkołach zaprowadzony język czeski, a przecie ludność była polska. Z tego wynika, że na zasadzie nauki w szkole nie można sprawy uprawnienia języka rozstrzygnąć. Gminy polskie, dopiero od roku 1848 otrzymawszy autonomję, zaczęły zaprowadzać język polski w szkołach, co nastąpiło nierównocześnie, ale w różnych gminach różnie, tak, że w niektórych gminach dopiero w przeszłym roku zaprowadzono język polski w szkole, a prawie w każdym roku jedna lub druga gmina polska zaprowadza język polski zamiast dotychczasowego czeskiego. Pomimo tego jest jeszcze około piętnastu gmin polskich, między temi owe cztery w powiecie frysztackim, gdzie dotąd jeszcze jest w szkole język czeski. Nadto w Dąbrowej i Orłowej dużo jest urzędników prywatnych czeskich, przysłanych tam z Czech do kopalni, które są własnością kapitalistów czeskich, Już kilka razy chciała ludność rodzima w tych wsiach zaprowadzić w szkole język polski, lecz owi czescy urzędnicy zawsze przeszkodzili. Powiat frysztacki jest więc polski, a jeżeli rezultat obli-

czenia ludności może nie zupełnie się z tem zgadza, to po pierwsze, dla owych urzędników czeskich, a powtórnie, dla tego, że były starosta frysztacki, jako czech, zapisywał całe gminy jako czeskie, nie pytając nikogo, a tylko niektóre z tych gmin dowiedziawszy się przypadkiem o tem, dopiero po długich zabiegach wymogły, że je zapisano jako polskie, bo inaczej większa połowa tego powiatu byłaby podana jako czeska. Jedną z takich wsi są Olbrachtowice. Powiat bogumiński (Oderberg) zamieszkały jest w części przez ludność polską, w części przez ludność czeską. W sądzie powiatowym w Boguminie należałoby zaprowadzić język polski i czeski. Powiat cieszyński jest polski, w czterech atoli gminach jest w szkole język czeski, mianowicie w Sobieszowicach, Domasłowicach, w Toszowicach i Dobrawicach. Z tych wsi tylko w Dobrawicach mówią czeszczyzną polskim językiem. Gdyby dla tych gmin miał być w sądzie cieszyńskim zaprowadzony język czeski obok polskiego, to należałoby zezwolić na to tylko pod tym warunkiem, ażeby w powiatowym sądzie frydeckim także oba języki równe miały prawa, gdzie także podobne są stosunki. Frydecki powiat jest czeszczyzną, ale w czterech gminach: Detyniach, Węclawicach, dolnych i górnych Błędowicach mówią po polsku, lubo w szkole jest język czeski. Te ośm powiatów sądowych tworzą politycznie trzy starostwa, a mianowicie: bielskie (sądowe powiaty: bielski, strumiński i skoczowski), cieszyński (sądowe powiaty: cieszyński, jabłonkowski i frydecki) i frysztackie (sądowe powiaty: frysztacki i bogumiński). Jeżeli więc wedle starostw zechcemy rozgraniczyć prawa języka polskiego od czeskiego, to należy w pierwszym starostwie czysto-polskiem uprawnić wyłącznie język polski, zaś w dwóch ostatnich starostwach zezwolić, żeby władze polityczne z polskimi gminami w polskim, zaś z czeskiemi w czeskim języku prowadziły korespondencje.

Z powyższego okazuje się jasno, że polska ludność na Szlązku, oprócz germanizacji, narazona jest na czeszczenie, a dla tego też jest obowiązkiem poselskiego koła polskiego, w którego ręce złożyliśmy nasze przyszłe losy, odgraniczyć obydwa języki ściśle od siebie i na zawsze położyć tamie nie naturalnej przewadze języka czeskiego w kraju polskim. Koło polskie może w tym kierunku uzyskać ustępstwa ze strony czeskiej, ale koniecznie potrzeba stanowczo w obec czechów wystąpić, zwłaszcza, iż pomimo ich prawa historycznego problematycznej war-

półki nie otrzymała kilku lekcji. Jakże wtedy szczęśliwą była! Gorliwość jej i radość granic nie miały. Zapracowane pieniądze z dumą ukazywała wszystkim znajomym swym, długo i słicznie mówiąc o konieczności pracy zarobkowej kobiecej, o szczęściu, płynącym z niezależności... potem... Cóż się stało? Dotąd jeszcze, faktu tego, dokładnie zrozumieć on nie mógł. Czasem zasnęła i godzinę lekcji opuściła, innym razem czytała się tak w ciekawej książce, że o niej całkiem zapomniiała, to znowu... czuła się niezdrową i nieusposobioną... po dwóch miesiącach nakoniec rzekła: — Wiesz co, Jasiu, przekonałam się ostatecznie, że w nauczycielstwie daremnie traciłabym siły me i zdolności... Miałam wyższe cele, tyś mię na drodze ku nim zatrzymał. Teraz, pomysleć muszę o czemś innem...

Myślała i po tygodniu, miała już w głowie swej cudowny plan działania.

— Wiesz, Jasiu, postanowiłam założyć tu w Ongrodzie... jakże się to nazewa? no artelje szewcka...

Od medycyny do szewiectwa skok był tak wielki, że zrazu Jan osłupiał i szeroko otworzył oczy.

— Alboż umiesz szyć obuwie? zapytał.

— Nie; ale nauczę się, nie łatwiejszego...

Od dnia następnego uczęszczać zaczęła do jednego z warsztatów szewckich, którego właściciel za sówitą opłatą zgodził się udzie-

lać jej nauki rzemiosła swego. Udając się na lekcje te, wkładała ubiór specjalnie ku temu sporządzony: krótką i grubą suknie, okrytą fartuchem długim, gęsto koronkami naszytym. Wracała rozmarzona. Czyliż praca fizyczna nie jest przedstawicielką jednej z najszlachetniejszych krzywd i zbrodni społecznych? Gneębiona dotąd i pogardzana, teraz dopiero wybijać się ona zaczyna z pod wiekowego ucisku i głośno dopominać się o swe prawa. «Wiek XIX jest wiekiem robotników!» powiedział John Russel. Wiek XXII będzie wiekiem ich tryumfu, mówiła Paula. Tymczasem, nie jest-że zadaniem wzniosłem tryumf ten przybliżyć? Nie jest-że wysoka rozkoszą zstępować pomiędzy maluczkiemi i ciemnymi, zasiadać pośród nich, z rękami ich w jeden takt podnosić swą rękę! Jacy to zresztą zacni i sympatyczni ludzie ci jej nowi koledzy, to jest, robotnicy szewcy! Po twarzach ich pot spływa, ręce mają zgrubiałe i ciemne i bardzo często podarte obuwie. Prawdziwa idylla ubóstwa! O! u niej, w jej przyszłej pracowni, będzie całkiem inaczej. — Ona nie będzie miała robotników, ani robotniczek, tylko współników i współpracowników. Wszyscy będą razem mieszkać, razem jadać i dzielić pomiędzy sobą zyski na części równe, co do grosza równe. Będzie to nietylko pracownia szewcka, ale także, coś w rodzaju amerykańskich falansterów. Śliczna to rzecz, te amerykańskie falanstery! Trzeba będzie raz jeszcze przeczytać o nich, a także sprowadzić i przeczytać dzieła Fry-

deryka Lassala, Szultz-Delitcha i Karola Marksa i t. d. i t. d.

Pochłonięta myślami i rojeniami temi, przez cały miesiąc nie nosiła peniuarów, ani z grecka drapowanych sukien, ale, w krótkiej spódnicy i fartuchu z koronkami, w staniu gładkim i wszelkich ozdób pozbawionym, więc tym lepiej uwydatniającym piękne jej kształty, chodziła do warsztatu, przesiadywała tam długie godziny i wracała rozpromieniona, szczęśliwa, pełna stonecznych rojeń i nadziei. Zapal jej był tak wielkim, rojenia tak szlachetnemi, z tak promiennemi usniechami mówiła o pracy fizycznej, cierpieniach ludzkich, niesprawiedliwościach społecznych, falansterach, równym podziale zysków, XXII wieku, Karolu Marksie, Ameryce, alzaskich fabrykach w Mulhause i świętem powołaniu zstępowania pomiędzy maluczkiemi, — że doskonala szczerłość jej, zupełna dobra wiara i obfita wymowa porwały słuchaczy i budziły w nich ufność absolutną. Ożymski i paru innych znajomych Mirawicza, którzy dobili się już zaszczytu poznania jej, całowali ręce jej białe jeszcze i wypięszone, lecz które wkrótce miały zgrubić od nożyc i szydła i — przepowiadali jej przyszłość gwiazdy, mającej zaświecić na firmamencie wieków... Co do Mirawicza, doświadczał on uczucia takiego, jakby znalazł czarodziejską jakąś kopalnię, w której co chwile ukazywały się nowe perły i dyamenty. Wyjątkowość kobiety tej i niezmierna jej nad innymi wyższość, zdejmowały mu część ciężaru

tości, słuszność jest zupełnie na naszej stronie. Dzielny lud szlachki, który dotychczas bez niczyjej pomocy walczył o swe prawa, zasługuje z pewnością na poparcie we wszelkim kierunku ze strony całego społeczeństwa polskiego.

R. Z.

Z Poznańskiego, 28 stycznia.

Dzisiejszy list wypada nam rozpocząć od, trzymającej się wiernie porządku chronologicznego, ilustracji spraw naszego parlamentaryzmu. A więc tedy spowodowało nasamprzód wystąpienie deputowanego Kantaka w sejmie pruskim przed świętami Bożego Narodzenia, w przedmiocie archiwum prowincjonalnego poznańskiego, dotkniętego w nim d-ra Baera, do publicznej w dziennikach niemieckich obrony, która, o ile sprawę jego polepsza, niechaj, komu wola, rozstrzyga. Frzeniesiony już teraz do Koblency, asystent poznańskiego archiwum prowincjonalnego przyznaje z pewną dobroduszną naiwnością, że w interesie dziejowych studyów, a z wyraźnym pozwoleniem landrata, kierował swe przechadzki ku wsiołom okolicy poznańskiej, zamieszkałym przez klasycznych «Bambrow», że zwiedzał mianowicie przy takiej sposobności wieś Rataje i sołtysa Schneidra, uważając zarazem za swój obowiązek przekonywać włóścian miejscowych, że są od niepamiętnych czasów wzorowymi Niemcami, których tylko prozelityzm księży na Polaków chce przerobić, a że «ani Pan Jezus, ani matka Boska nigdy Polakami nie byli». Oto, co urzędnik archiwalny najucywilizowańszego nibyto w Europie państwa, według własnego przyznania, wieśniakom z okolicy Poznania prawil, a co niechaj zarazem będzie materiałem do ocenienia politycznego i towarzyskiego taktu tego rodzaju osobistości. Najlepszą z tego wszystkiego rzeczą, że zacne «Bambry», ludzie, nawiasem powiedziawszy, wcale światli, w znacznej części wychowawcy czterech niższych klas wyższych zakładów naukowych poznańskich, mędrsi, a nade wszystko przebieglejsi od prawiącego im smalone duby doktora filozofii archiwum prowincjonalnego, pozwolili mu gadać i słuchali jego gadanin umyślnie na to, aby je potem zakomunikować naszym reprezentantom sejmowym i wystawić apostołowi germanizacji należne świadectwo dojrzałości. Postępując dalej w kronice parlamentarnej naszej reprezentacji sejmowej, zapiszemy dalej, że farye obu korporacji politycznych, tak sejm Rzeszy, jak sejm pruski trwały aż do 10 stycznia, co już zresztą donosiliśmy w przeszłym liście, i że dotąd nadarzyła się tylko,

i to jedynie w sejmie Rzeszy niemieckiej, członkom naszej reprezentacji sposobność dwukrotnego wystąpienia. Wspomnieliśmy już o oświadczeniu deputowanego Magdzińskiego za wnioskiem socjalisty Liebknechta, który domagał się, bez względu na pewne formalności parlamentarne, zniesienia wszelkich praw i postanowień wyjątkowych, jakie uchwalono od czasu utworzenia cesarstwa niemieckiego, aż do chwili obecnej. Później nieco zabierał głos deputowany, dr. Witold Skarzyński, oświadczaając, iż on i frakcja polska w sejmie Rzeszy będą głosowali za wnioskiem członka frakcji konserwatywnej, Wedella von Malchow, żądającego nałożenia osobnego podatku na interesy giełdowe. Po tych utarczках tyraljerki parlamentarnej, zamierzyła sobie tak reprezentacja nasza w sejmie pruskim, jak reprezentacja nasza w sejmie Rzeszy niemieckiej, akcyę szerszych rozmiarów. Pierwsza mianowicie, obierając sobie za przedmiot, pokrzywdzoną u nas do najwyższego stopnia, dziedzinę szkolną, oddała już do łaski marszałkowskiej izby deputowanych szereg wniosków następnie brzmiących: Po pierwsze żąda deputacja nasza aby do wszystkich szkół wyższych, tak zwanych średnich i seminariów nauczycielskich katolickich zastosowano przepisy instrukcyi ministerjalnej z dnia 24 maja 1842 r. Instrukcyja ta, będąca wpływem równoczesnego rozkazu gabinetowego króla Fryderyka-Wilhelma IV, rozporządzała, aby w powyżej wspomnianych zakładach naukowych, mianowicie w czterech klasach niższych gimnazyalnych, język wykładowy był polskim. Ponieważ dotąd, mimo obietnicy, jaką pod tym względem daje jak najformalniejsza ustawa konstytucyjna pruska z dnia 31 stycznia 1850 r., monarchja pruska nie cieszy się posiadaniem organicznego prawa o wychowaniu publicznym, stanowi ów rozkaz gabinetowy, wraz z pomienioną instrukcyą ministerjalną, jaką taką do tej chwili jeszcze prawną podstawę organizacyi szkolnej w W. Księstwie Poznańskim. Ze względu zaś, że w porównaniu z tem, co się później w tej dziedzinie stało i co się ciągle w niej przez różne reskrypta Falkowe, przez rozporządzenia naczelnych prezesów, regencyi, różnych Luxów i Gratzkich praktykuje, instrukcyja z dnia 24 maja 1842 r. obchodzi się jeszcze z pewną względnością z naszym językiem i z potrzebami pedagogicznymi, powołują się zwykle wszystkie nasze wnioski, czy to w sejmach prowincjonalnych, czy na tak zwanych wiecach, na jej brzmieniu i treści. Tyle dla wyjaśnienia pierwszego numeru wniosku deputatów naszych w sejmie pru-

skim, żądającego przywrócenia językowi polskiemu praw języka wykładowego w poznańskich szkołach. Dalsze następę tegoż samego wniosku domagają się, aby usunięty w wyższych zakładach naukowych poznańskich, mianowicie w niższych ich klasach, od dziewięciu lat wykład nauki religji, był znów przywrócony i aby się odbywał w języku polskim. Otóż wniosek czy wnioski, z jakimi reprezentacja nasza zamierza wystąpić w sejmie pruskim, który, jak wiadomo, odroczony obecnie na nieokreślony bliżej czas, z powodu odbywających się w przedmiocie organizacyi administracyjnej prowincjonalnej obrad komisyjnych, dla czego rzeczą wiele wątpliwą, czy i kiedy owe wnioski dostaną się na porządek dzienny sejmowych posiedzeń. Nikt dalej zapewne nie zaprzeczy, że wnioski te są istotne bardzo skromne, bardzo umiarkowane, i że im nikt sumiennie zbytniej wybujałości przypisać nie może. Cóż wobec tej prawdy powiedzieć przecież, skoro wychodząca w Poznaniu, mieniająca się postępowym organem, «Posen-Zeitung» wytacza z powodu tych wniosków poządliwości polskiej formalny proces i odwołuje się do «niemieckiego patriotyzmu» sejm pruski. aby zbiorową swą postawą tego rodzaju pretensyj polskim raz na zawsze położył koniec? Tej inkwokacyi polakożereczego organu w Poznaniu, wtóruje berliński organ tegoż samego nibyto politycznego kierunku, «Berliner Tageblatt», mówi o Polakach w Poznańskim jako żywole obcym na ziemi niemieckiej, o języku polskim jako o języku domagającym się szczególnych jakichś przywilejów w obrębie praw i panowania języka niemieckiego. Pomijając podobne wycieczki i zaczepki prasy niemieckiej, prawdziwe w swoim rodzaju *curiosa*, zwłaszcza, jeżeli się rozważy, że to liberalna niby i postępową publicystyka figuruje w pierwszym rzędzie podobnie polakożereczej akcyi, powiedzielibyśmy wręcz przeciwnie, że wobec materiału legalności, jakim ku obronie praw naszych rozporządzamy, postawa reprezentacyi naszych sejmowych jest skromna, jest o bardzo wiele za skromna nawet. Jeżeli spostrzeżenie podobne zapisujemy, czynimy to pod bezpośrednim niemal wrażeniem zajęć, jakie miały miejsce w kole sejmowym naszych reprezentantów do sejm Rzeszy niemieckiej, a jakie teraz właśnie są przedmiotem, naczehowanej pewnem rozdrażnieniem, polemiki u nas dziennikarskiej. Otóż tedy przedstawia, po za dziedziną wychowania publicznego, widownia sądownictwa pod względem praw i potrzeb języka polskiego, bardzo niepoieszające wi-

tego, który, pomimo rozkosznego upojenia, czuł wciąż na sercu, czy na sumieniu, zarazem. Cóż? Jestże na świecie człowiek, który, mogąc posiadać skarb taki, dobrowolnie i dla jakichkolwiek przyczyn wyrzekłby się posiadania tego?

Tu bieguny krzesła na chwilę kołysać się przestały. Mirewicz podniósł rękę i dłonią przycisnął czoło. Gorący niepokój zamigotał mu w oczach. Anna odesłała mu pieniądze, które posłał jej był wnet po jej wyjeździe. Sprobował posłać jeszcze raz i drugi, za każdym razem coraz pokorniej prosząc listownie, aby przyjęła. Ta sama zawsze odpowiedź: «Janciu zdrowa i wesola i wszystko ma czego jej trzeba. Ja także zdrowa jestem i trochę roboty już mam, a będę miała coraz więcej. Proszę cię, kochany Jasiu, abyś daremnych wydatków na wysyłki pocztowe nie ponosił, bo dopóki Janciu potrzebować nie będzie i t. d.»

Janciu! kiedyś, szukając czegoś w jakiejś szafie, znalazł rzucony tam, malutki, błękitny trzewiczek i patrzył nań takim wzrokiem, jak gdyby przedmiot ten mówił coś do niego długo, długo, cichutko... Zakrył potem dłonią oczy, ale nie mógł zakryć czoła, które zaszło głębokim rumieńcem. Wziął z szafy trzewiczek, owinał go starannie w papier i schował do jednej z szuflad swego biurka. Tego samego dnia napisał do Anny: «Czy pozwolisz mi kiedy przyjechać do was, aby zobaczyć dziecko?» Tego samego także dnia Paula otrzymała z War-

szawy nowy transport fut, z pośród których wydobyla i świetnie wykonała jakąś długą i trudną sonatę. Wstając od fortepianu, znalazła się w objęciu ramion wzruszonych i rozkochanych. Jan upił się jej muzyką, a wieczór ten, który po odegranej sonacie przepędzili we dwoje, nie wytrzeźwił go wcale. Jakże go ona czule i zarazem namiętnie kochała! Czy podobna, aby ktośkolwiek dobrowolnie zdjął z siebie kwieciste kajdany, które okuwała go miłość, posiadająca siłę meżka, a miękkość i wszystkie uroki niewieście.

— Nigdy nikogo nie kochałam tak jak ciebie, Jasiu, i nigdy już nikogo, prócz ciebie, kochać nie będę!

O prawdziwości słów jej nie przemknął w oczach jego ani cień zwątpienia. Miał zresztą słuszność — wierząc... Była szczerą, zupełnie i w szczeroci tej spoczywała tajemnica wywieranych przez nią wpływów. Wpływy te były tak wielkie, że ani Mirewicz, ani Ożymskiego, ani nikogo z innych znajomych jej, nie zdziwiła wieść o tem, że szewiectwem zajmować się dłużej już nie może, zatem i o artełji z równym podziałem zysków myśleć zaprzestaje. Niepodobna już było jej wytrwać dłużej! Maluczy śmiardzieli czasem wódką tak, że aż się jej słabo robiło, a palili taki obrzydliwy tytuń, że wracała z warsztatu z migreną i mdłościami. Przytem przekonała się, że w zawoździe rzemieślniczym trzeba znieść nadzwyczaj dużo niedogodności takich, jak: ranne

wstawanie, kamienne przesiadywanie nad robotą, ciągły widok brudnego warsztatu. Ona zaś czuje dobrze, że gdy przez czas dłuższy znośić będzie rzeczy nieprzyjemne, sprężyny natury jej utracą energję swą i zdolność do szerokiego wszechstronnego rozwoju. Zatem...

Zatem, wynagradzając sobie przykrości, przez cały miesiąc przenoszone w warsztacie, zakrzętała się około urządzania mieszkania Mirewicza, w sposób najestetyczniejszy, na jaki tylko okoliczności miejsca i kasy pozwalały. Wtedy to powstała w saloniku altana owa z wazonowych roślin, z kołyszącą się wśród nich krzesłem, powstały rozrzucone tu i owdzie sprząty i sprzączki, a w alkowie Pauli zapalała się codziennie wielka błękitna lampa, rzucająca na pokój do alkowy przylegający marzące blaski, zupełnie do blasku księżyca podobne. Co więcej, oprócz bladego księżyca, palił się tam na fajerce sinawy płomyk. Był to rodzaj kadzielnicy, na której gorzały wonności, napełniając alkowę, pokój i salonik delikatnymi woniami heljotropu czy czegoś innego...

Tu znowu bieguny krzesła kołysać się przestały, a myśl jakaś, czy jakieś przypomnienie tak silnie tknęło Mirewicza, że aż półgłosem do siebie samego zawołał:

— Wszakże to jutro już muszę Chackielowi procent zapłacić!

Procent od długu zaciągniętego u lichwiarza. Nic w tem dziwnego nie było. Altany, sprząty, sprzączki, lampy, kadzidla, ter-

dowisko. Dawniejsze, zasadnicze, choć uszczuplone i ukrócone dodatkowemi, późniejszymi przepisami, prawo z dnia 9 lutego 1817 r., oczekujące równouprawnienia języka polskiego w wymiarze sprawiedliwości w granicach W. Księstwa Poznańskiego, zostało zniesione późniejszym prawem o języku urzędowym z dnia 28 sierpnia 1876 r. Postanowienie to znalazło suche i krótkie zatwierdzenie w ustawie organicznej o sądownictwie niemieckiem z dnia 27 stycznia 1877 r. Podobny stan rzeczy odbija się z niesłychaną szkodliwością na sprawach interesantów tak w procedurze karnej, jak cywilnej, dla czego w ciągu obecnej właśnie kadencji sejm Rzeszy niemieckiej, deputowany do tegoż sejm z Prus zachodnich, p. Leon Czarliński, postanowił wystąpić z wnioskiem, żądającym równouprawnienia dla języka polskiego w sądownictwie, w ziemiach wchodzących w dawny skład Rzeczypospolitej polskiej. Dalszy ciąg wniosku deputowanego Czarlińskiego domagał się, aby w innych częściach monarchji pruskiej mieszanej ludności, interesantom nie posiadającym niemieckiego języka, było wolno w czynnościach dobrej woli posługiwać się językiem ojczystym, nadto, aby wobec sądu występując, mieli sobie zawsze przydzielonego tłumacza. Zdawałoby się mogło, że i to przeciw wnioskowi bardzo skromny, bardzo naturalny, odpowiadający po prostu tylko najżywniejszej potrzebie ludności polskiej. Tak też zdawało się początkowo większości reprezentantów naszych w Ionie sejm Rzeszy, a w miesiącu grudniu postanowili tuż po rozpoczęciu sejmowych czynności wystąpić z tym wnioskiem. Teraz w tych dniach tymczasem, kiedy nareszcie chwila owego wystąpienia się zbliżyła, zapadła w Ionie teże naszej reprezentacji uchwała i znów uchwała większość, aby wniosek p. Czarlińskiego odrzucić na cztery tygodnie. Uchwała ta wywołała nasamprzód zatarg w samemże kole sejmowem. Wnioskodawca sam i koledzy, podzielający jego zapatrywania, uważali się spowodowanymi zapowiedzieć złożenie deputackiego mandatu. Wewnętrzny ten, w czterech ścianach sejmowego koła, zatarg, byłby jeszcze rzeczą mniejszą. Co ważniejsza przecież, to, że ogłoszono jego przeniknął w publiczność, stał się własnością ogółu i przedmiotem porządku dziennego naszej publicystyki. «Kuryer Poznański» broni postępowania większości sejmowego koła i przemawia za tem, aby dziennikarstwo, uchylając się od dyskusji drażliwego przedmiotu, pozostawiło jego decyzję rozważać naszej reprezentacji sejmowej. Inaczej «Dziennik Poznański» i «Ga-

zeta Toruńska», które oświadczają się bezogódkowo za wnioskiem p. Czarlińskiego i za jego bezzwłocznem przedłożeniem. Prawdę powiedziawszy, wyszłoby też istotnie czterotygodniowe odroczenie tego wniosku na jego ostateczne pogrzebanie, gdyż niechętna nam i tak już dosyć formalistyczna parlamentarna znalazłaby sposób przeznaczyć mu w razie podobnego opóźnienia porządek, znajdujący się już zupełnie po za obrębem ukończonej kadencji. Tyle z obchodzących nas bliżej szczegółów kroniki parlamentarnej, której, daj Boże, aby tylko nie przyszło zapisać na swych stronicach bardzo przykrego w naszych stosunkach aktu rozstroju, tak w kole sejmowem samem, jak między niem a naszą społecznością znaczną, co najmniej, częścią. Wspomnieliśmy w ostatniej naszej korespondencji o «Gazecie Poznańskiej», jako o publicystycznej próbie propagandy rządowej wobec naszej sfer ludowych. Nowa gazетка trzyma się na pozór bardzo na uboczu i bardzo powściągliwie, unika polemiki, przeladowuje tylko swe szczupłe kolumny wiadomościami z Niemiec i o Niemcach, których widoczną intencją zaspokoić, w ciekawości i interesie chłopca polskiego «dla tego co się dzieje na świecie», apetyt obeznania się z rzeczami i sprawami własnego kraju i zakątka niemiecką strawą. Prócz tego, jak rzecz widoczna, opiera redakcja a raczej wysocy przedsiębiorcy «Gazety Poznańskiej» powodzenie pisma na tanioci abonamentu, który kwartalnie wynosi tylko 50 fenigów. Nie dość zaś i na tem jeszcze, nie kłopotą się właściciele i przedsiębiorcy pisma w swej niewyczerpalnej szczodrobliwości i o ten zysk abonamentowy, a «Gazeta Poznańska» rozchodzi się z Poznania na wszystkie strony do najrozmaitszych urzędów pocztowych W. Księstwa Poznańskiego, aby ztamtąd być całemi ładunkami rozpowszechniana bezpłatnie między nauczycieli wiejskich i sołtysów. Najlepszym na to, jedynie taniocią abonamentu dotąd szkodliwe, pismo środkiem pozostaje rozsądne i uczciwe zachowanie się naszych pism ludowych. Przy tej może właśnie sposobności zauważyć nie od rzeczy, że położenie naszej prasy i organów, dla sprawy naszej pracujących, wobec władzy wcale rozkoszmem i łatwym nie jest. Dowodem tego liczne procesy prasowe, wytaczone co chwila większym mianowicie naszego dziennikarstwa organom, jak «Kuryerowi» i «Dziennikowi Poznańskiemu». Nie potrzeba zbyt wiele zgrzeszyć; dość zadrasnąć pierwszego lepszego dystryktowego komisarza lub landrata, pierwszego lepszego nauczyciela-germanizatora lub inspektora szkolnego,

pierwszego lepszego czy to p. Rexa w Toruniu, czy p. Luxa w Poznaniu, by się wystawić na proces, którego wypadek jest zawsze prawie niekorzystnym dla oskarżonych, odpokutowujących swą winę, zwykle krócej lub dłużej, we wcale nie słodkim dla skazanych redaktorów więzieniu poznańskiem. Wielkie jeszcze szczęście, jeśli takie skazanie kończy się na mniejszej lub większej karze pieniężnej. Między innymi spotkał ten los przed kilku dniami wychodzące tutaj w języku niemieckim, w interesie obrony praw polskich, pismo tygodniowe «*Polnische Correspondenz*». Pismo to, redagowane istotnie z wielką ostrożnością i powściągliwością, mimo wielkiej drażliwości tematów, jakie mu się z natury rzeczy pod pióro dostają, zamieściło między innymi w miesiącu wrześniu r. z., obszerną krytykę broszury znanego rosyjskiego publicysty Trubnikowa, który polemizując z niemieckim żywiołem i niemieckimi dążnościami wogóle, nie mógł się powstrzymać od wycieczek przeciw osobie i polityce księcia-kancelarza niemieckiego. Krytyka pisma «*Polnische Correspondenz*», zwracała się przeciw broszurze Trubnikowa, równie niechętniej polakom, jak niemcom. Polemizując przeciw Trubnikowowi, wspominał krytyk oczernienia i epitetów dawane przezeń polityce kancelarskiej w sposób ironiczny, nie zaopatrując ich przecież, co prawda, w cudzopowity. Okoliczność ta starczyła. Ze strony kancelarskiej nadszedł do prokuratury wniosek o ukaranie «*Polnische Correspondenz*»; prokuratura wytoczyła oskarżenie i sąd skazał redakcję na 100 marek kary pieniężnej, w razie niemożności na dziewięć dni więzienia. Pismo zostało ukarane za zapisanie na swój rachunek wyrażenia p. Trubnikowa. Stało się tutaj, jak w swoim czasie w słynnym i w naszych dziejach procesie Łyszczyńskiego i *ergo non est Deus*, na mniejszą, chwala Bogu, i bez stosa przecież... Pod koniec naszego listu zapiszemy tylko jeszcze, że zjazd w Poznaniu bardzo liczny, że karnawał choć krótki, to świetniejszy niż kiedykolwiek, że mianowicie bal kostjumowy w teatrze polskim na rzecz żelaznego funduszu tegoż teatru, odznaczał się szczególnym blaskiem, że wręczcie bale i zabawy karnawałowe, tak w samym Poznaniu, jak i na prowincyi, mają w nienajmniejszym stopniu za cel przyjąć w pomoc różnym naszym dobroczynnym i publicznej użyteczności przedsięwzięciom. Mianowicie korzysta z tego sprawa żelaznego funduszu teatru polskiego, który mimo trudności z jakimi się spotyka, dobiega niewątpliwie pożądanej a niezbędnej dla istnie-

minowanie u szewca, terminatorskie fartuchy z koronkami, nowe coraz transporty nut i książek... We wszystkim tem jednak nie było nic, coby ubliżać jej i w złem świetle stawiać ją mogło.

— Mój drogi, kochany Jasiu! Boli mnie to, że jeszcze tu, w tej mieścinie, niezależności zdobyć sobie nie mogłam. Wszystko jednak co teraz od ciebie przyjmuję, jest pożyczką... świętą pożyczką, którą zwrócę, gdy kiedyś celów moich dosięgnę... Wierysz mi?

On miałby nie wierzyć jej, gdy trzymając ręce jego w swoich, patrzyła na niego łzawym, rozrzuwionym wzrokiem, a głowę swą, tak malowniczo nczesaną i wonną, ku piersi jego chyliła.

— Wierzę, najdroższa, wierzę we wszystko! Ty jesteś wcieloną prawością i szczerością. W tobie niema cienia fałszu!

I mówił prawdę. Nie było w niej cienia fałszu.

Jednak, w tej samej epoce, to jest w porze zakładania altan i wznoszenia kadzielnic, powstała pomiędzy nimi pierwsza kłótnia. Poszło o studyowanie ludzi. W początkach pobytu swego tutaj, Paula bardzo gorliwie studyowała miasto, że jednak czyniła to wraz z Mirewiczem, nietylko nie miał on nic przeciw temu, ale owszem, zupełnie był przekonany, że, po godzin parę codziennie na ulicach i placach miejskich spędzając, oddają się wcale poważnemu zajęciu. Ze zaś potrafili połączyć użyteczne z przyjemnem,

tem lepiej. Żadne jednak miasto pod słońcem, nie składa się tylko z domów, ulic i placów, są w niem zawsze ludzie. Otóż, w porach, w których Mirewicz przyjmował klientów, chodził do miejsc sądowych, zajmował się pisaniem, Paula niewiedząc jakim sposobem, tak jakoś wypadkiem, zapoznała się na ulicach i placach miasta ze sporą ilością ludzi, i to nietylko takich, których Mirewicz znał, ale i takich także, których znać nie chciał. Zupełnie niespodzianie, niewiedząc jakim sposobem, pokój oświetlony blaskiem księżycowej lampy i przesiąknięty wonią heliotropu, napełniać się zaczął postaciami mężczyzn, które najczęściej widywać było można w ogrodzie publicznym, gdy muzyka grała i w okolicach budek z wodą sodową. Brzęczały tam ostrogi, na wspaniałe piersi zwieszały się spiczaste bokobrody, błyskały binokle młodzieńców, zajmujących różne stopnie urzędowej hierarchji. Kompanja ta gwarzyła niezgłębnie i kilku na raz językami, a wśród niej Paula, strojna, rozpromieniona, deklamująca wyjątki z poematów i cytaty z książek uczonych, iskrząca się dowcipem, grająca waryacje i sonaty, czarowała wszystkich i na złocistych włosach swych zdawała się nieść koronę królowej. Mirewicz, który nie spostrzegł jakoś stopniowego napływania do domu kompanji tej, przy pierwszym walnem jej zgromadzeniu, zmarszczył się strasznie i nie mogąc już uczynić inaczej, przyjmował gości ale z chłodem i roztargnieniem widocznem.

W środku wieczoru, w chwili, gdy, umyślnie na wieczór ten najęty przez Paulę, lokaj wnosil do pokoju z księżycem tacę z owocami, Mirewicz wysunął się do salonu i na kołysząc się krzesłem usiadłszy, zdala przyglądał się widokowi, sprowadzającemu na czoło jego ciężkie chmury. I dziwna rzecz; przed oczami jego, nagle jakoś przemknęły dwa obrazy: cukierni z harfiarkami i budki z wodą sodową i utrefioną Fryną. Po rozjeściu się kompanji, wybuchnął. Zapomniał się tak, że uczynił to w obecności Ozymskiego, który nie uważając się wcale za gościa, gdy inni odeszli, pozostał. Pokłócili się z sobą formalnie. Na wymówki Mirewicza, Paula odpowiadała, że więzów żadnych nigdy nie zniesie, że nie jest wcale wilkiem, aby bez ludzi żyć miała, że nakoniec i szczególnie myślącym człowiekiem będąc, musi ludzi studyować. Bez obserwacji bezpośredniej, żadne książki dać nie mogą dostatecznej wiedzy o ludziach. Znać ich trzeba i studyować. Inaczej umysł wypadnie koniecznie w ciemnotę i parafjanszczyznę, czego najlepszym dowodem jest właśnie Jan, który bardzo znać mało studyował ludzi, skoro teraz przypuszczać może, że taka kobieta, jak ona, ulegnie więzom i dla najukochańszego choćby człowieka, pozbyć się zechce swaj niepa-dięgłości. Wszystko to mówionem było na-przód z gniewem, potem z płaczem, nakoniec ze spazmatycznym śmiechem, po którym nastąpiło upadnięcie na kanapkę, zachorowanie, ratowanie, posyłanie po lekarza, obczu-

nia naszego teatru cyfry. W początku lutego przyjeżdża do Poznania, uroczyste zaproszona przez zarząd towarzystwa akcyjnego teatralnego, Deotyma z kilku odczytami na rzecz pomienionego funduszu.

J. A.

Lwów, 26 stycznia.

Wczorajsze wybory do lwowskiej rady miejskiej zawiadły dość powszechnie oczekiwania. Stawały naprzeciw siebie dwa główne stronnictwa tak zwane «Łączności i Zgody», rekrutujące się przeważnie z drobnych rzemieślników i skoalizowany z kilku komitetów przedwyborczych obóz, złożony z inteligencji miejskiej i przemysłowców. Przewidywano, że głosy w równych prawie połowach rozdzielią się na obie partie, a kto wie nawet, czy pierwszy obóz nie zwycięży. Pokazało się, że rachuby te były mylne. «Łączność i Zgoda», a raczej kilku jej zręcznych przywódców robili wiele hałasu; druga strona nie wiele mówiła, przyjmowała do wiadomości sangwinicznie dość zarzuty i robiła swoje, posiadając w swym gronie ludzi, przywykłych do prowadzenia agitacji wyborczej. Głosowanie wczorajsze w ratuszu dało rezultat następujący: Na 6,153 upoważnionych do głosowania głosowało 3,690, co uważa się u nas za nadzwyczajny udział wyborczy, jakiego nie było jeszcze przykładu. Z ostatniej tej liczby na listę kół zjednoczonych padło 2,299 głosów, ponieważ zaś absolutna większość wynosi 1,846 głosów, lista ta przeto otrzymała 453 głosów po nad tę większość. Na listę «Łączności i Zgody» padło użyczonego 881 głosów. Trzecia lista, ułożona przez grono ludzi z inteligencji, w nadziei, że głosy ważyć się będą między dwoma głównymi partiami, i nosząca nazwę listy «Niezwieszonych» otrzymała 404, inne listy, a było ich jeszcze cztery—razem 106 głosów. Zliczono dotąd właściwie tylko ilość oddanych list drukowanych, ponieważ zaś na każdej liście były częściowe kreślenia jednych kandydatów i zamianowania ich innymi, nie wiadomo więc jeszcze, czy lista większość przejdzie w całości—niewątpliwie jednak zmiany będą nieznaczne. Lista ta mieści w sobie obok inteligencji miejskiej znaczną dość liczbę kupców i przemysłowców. Za pomyślny w ogóle uważać należy rezultat, że cała prawie lepsza inteligencja miejska, biorąca udział w naszym życiu municypalnym, wejdzie do rady, liczącej 100 rajców miejskich. Rada ta dopiero wybierze sobie burmistrza. Kto nim będzie, nie wiadomo jeszcze, zdaje się jednak, że najwięcej szans ma dzisiejszy wice-burmistrz, dawniej lakiernik, dziś właściciel

realności, p. Wacław Dąbrowski, człowiek inteligentny i czynny.

W dzień wyborów Lwów był nader czysty. Rogi ulic, szczególnie w pobliżu rynku, zalepione były olbrzymimi afiszami, w których każda partya i koterya listę swą rekomendowała. Nie przebiegano oczywiście w wyrażeniach bardzo dosadnych, pojawiły się także plakaty, wtykające różne wady i niepochwalne czyny różnych kandydatów do rady. Ponieważ przytem «Łączność i Zgoda» agitowała pod hasłem «precz z pożyczką!», wypisano też na osobnym afiszu nazwiska wszystkich głównych «zwolenników pożyczki». Wywiązała się przytem, znana przy agitacji wyborczej, walka na afiszach, objawiająca się tem, że na figurujących już listach, przeciwnicy nalepiali swoje, na tych znów inni nalepiali—każdy przytem pilnował, ażeby jego była na wierzchu. Wielka liczba agitatorów i posłańców z afiszami snuła się między wyborcami, wtykając im afisze i odezwy, —ponieważ przytem był mróz siarczysty, zwolennicy «zjednoczonych kół wyborczych» urządzili w pobliskim lokalu «ogrzewalnię», gdzie zmarznięty i wyglodzony wyborca mógł ogrzać się, kufel jaki piwa wychylić, coś przekąsić, a w dodatku dostać gotową listę kandydatów do rady, co wszystko w ogóle obywatelski obowiązek wybierania rady czyniło przyjemniejszym i znacznie ułatwionym. W pobitych szeregach «Łączności i Zgody», która listę swoją przy poprzednich wyborach przeprowadziła, wielka panuje konstagnacja i konfuzyja. Żaden z przywódców tego stronnictwa, którzy rej wodzili w obecnej radzie nie wyszedł z urny wyborczej. Przepadł więc prost dr. Ciesielski, prof. Jegerman, dr. Milleret. Zwyciężonym przypada wdzięczna, lecz trudna rola pracować przez trzy lata nad swymi wyborcami, ażeby za lat trzy zaprowadzić ich w większym komplecie do urny. Zobaczymy, czy starczy im na to wytrwania. Obecnie «Łączność i Zgoda» zakłada protest, dążąc do obalenia wyborów obecnych, jako przy użyciu środków prawem zakazanych przeprowadzonych. Dziś już na murach pojawiły się wielkie plakaty podpisane przez redakcyą «Sztandaru polskiego» i «Strażnicy polskiej» i zapowiadające nowe wybory.... *Pium* to jednak *desiderium* zwyciężonych.

Z innych spraw miejskich nie szczegółniego niema do zanotowania. Przez jakiś czas wielkiego tu narobiło hałasu zamknięcie licznie odwiedzanego kościoła jezuitów przez niedzielę i poniedziałek. Policya i «Gazeta Lwów» zapewniły, że kościół zamknięto w obawie przed oczekiwanym jakimś wiel-

kim skandalem ze strony tutejszych anarchistów, którzy chcieli w natłoku rzucić bombę, czy coś takiego uczynić. Publika jednak nie daje temu wiary i uporczywie utrzymują, się pogłoski, że w kościele spełniono jakieś zabójstwo, że się jezuita powiesił i t. p. Gdzie mianowicie leży prawda, dotąd nie odkryto.

Sledztwo w procesie, siedzących tu w więzieniu, 20 przeszło socjalistów, przeważnie robotników, jest już na ukończeniu. Przed kilku dniami policya odbyła tu rewizyę u dwu redaktorów wychodzącego tu «Tygodnika literackiego», pp. Bolesława Spausty i Bolesława Czerwieńskiego, podejrzuwając ich o udział w agitacyach socjalistycznych, nie jednak podejrzanego nie znaleziono i pozostawiono obu w spokoju. W Krakowie z nowym rokiem zaczął wychodzić organ postępowej młodzieży p. t. «Przyszłość», oraz drugie z rzędu pismo socjalistyczne w Galicyi p. t. «Robotnik».

Ha.

Z nad Tykocza, 10 stycznia.

Zrobiliście w «Kraju» ogólny bilans roku zeszłego. Wypadałoby może, ażeby każdy z nas, korespondentów prowincjonalnych, popróbował zrobić podobny obrachunek ze swoich stron. Obraz wyszedłby bardzo ciekawy i pouczający, choć nie wesoły, bo *debit* nad *creditem* goruje, a deficyt wszędzie ogromny. Bo uderzymy się w pierś i powiedzmy: czy wytworzyliśmy, u nas np., jaką solidarność do pracy zbiorowej, czy rozwiązaliśmy choć jedną kwestyę ekonomiczną z tyłu nas niepokojących, lub czy wyszła z pośród nas jaka inicjatywa, w sprawie większej doniosłości, nie osobistej, mającej na celu nie interesy pojedynczej osoby, lub pewnego stanu, a całego, lub części, społeczeństwa? Pędzimy życie w apatyi i odrętwieniu, na wszystkich narzekając, oprócz siebie samych; najczulsza struna u nas to interes własny i nasza kieszeń, i do nich chcielibyśmy wszystkich nastroić, ażeby o nas pamiętano i krzywd nie wyrządono, a ten kto inaczej myśli jest nam wrogiem. Po za temi maluczkimi osobistymi sprawami nie nas nieobchodzi i nie zajmuje, a wyższe potrzeby ducha wytworzone współczesną cywilizacyą, mogłyby zupełnie nie istnieć.

Jeżeli egzystują gdzie-niegdzie w prowincyi młode siły zdolne do pracy, jeszcze nie pochłonięte w pogoni za groszem i karierą, lub w zmysłowych ucieszach, to te rozstrzelone na ogromnej przestrzeni, nie tak łatwo mogą się skupić i zorganizować do pracy społecznej i pożytecznej, bo brak nam ludzi

nie na Jana Ożymskiego, przestraszył i zgryzota Jana i, po nocy bezsennej, kompletna jego, na kłęczkach dokonana, kapitulacya. Pogodzili się, to jest Paula przebaczyła, ale odtąd Ożymski przychodził coraz rzadziej, całkiem prawie przychodzić przestał. Co się temu chłopcowi stało? Wyglądał jak z krzyża zdjęty, Jana unikał, Pauli wcale nie widywał, młodzianka siostra jego podobno z domu wyjechała do jakiejś ciotki czy babki, a stara matka, spotkawszy raz Mirewicza na ulicy, popatrzała na niego takim jakimś smutnym i razem gniewnym wzrokiem.

Jak to jednak dziwnie dzieje się na świecie! Niema róż bez kolców, niema szczęścia bez chmur. Posiadać kobietę piękną, wysoko wykształconą, wzniosłą i trzeźwo myślącą i namiętnie, tklawie kochającą—jakież to szczęście! Jednak, ileż na niem chmur! Ten, naprzykład, błękitny trzewiczek dziecięcy, który ilekroć drzące trochę ręce odwiną go z papieru, niby błękitnym oczkiem patrzeć się zdaje w twarz ojca i coś do niego mówić długo, cichutko... I ta wiazka papierów wartościowych znikniona, a wzamian dług zaślągnięty u Chackiela lichwiarza! I te dziwne poróżnienie z serdecznym przyjacielem! I ten, nadewszystko, list Anny dziś otrzymany, do kieszeni kamizelki schowany i kołący w pierś Jana, ilekroć sobie o nim przypomni. Nie było w nim jednak nic prócz doniesienia o dobrem zawsze zdrowiu dziecka i wcale niezłym powadzeniu matki: «Mam już tyle roboty, że wzięłam sobie do pomocy

dwie panny, zarabiam niewiele, ale ponieważ z Józią i pewną jeszcze bardzo znaną kobietą mieszkamy i jadamy wspólnie, niedostatku nie cierpimy. O mnie więc nie troszcz się, ale o przyszłości Jańci pamiętaj. Za parę lat trzeba będzie już zacząć ją uczyć. O tem nie dam ci nigdy zapomnieć i zawsze przypominać będę, bo to twój obowiązek i dziecko nic nie winno temu, co między nami zaszło. Zapytaj, czy możesz tu przyjechać, aby dziecko zobaczyć. Dlaczegożby nie? Alboż ja twoją nieprzyciółką jestem, abym cię widzieć nie chciała? alboż ja chcę dziecko nasze ojca pozbawić? Przeciwnie, chciałabym bardzo, abys je jaknajmocniej kochał i sama często bardzo mówię Jańci o tobie...»

Bardzo rozsądnie, myślał Jan, bardzo uczciwie, i nawet daleko ortograficznie niż dawniej było, całkiem prawie ortograficznie! Czyżby tam panna Józefa, zwyczajem swoim, zabrała się do edukowania ją, o ile można? Ta Józefa jednak... wszakże to ona siostrę swą wy kierować zamierza na doktorkę... a nie o tem nigdy nie mówiła.

Z Paulą zato o doktorstwie mówili dużo. Była ona tak dobrą, że akt skruchy ujął i rozrzewnił ją więcej, niż wytoczenie kłótni rozgniewało. Asambliów przez czas jakiś nie było. Zgoda po kłótni podwoiła szczęśliwość chwil, we dwoje pędzonych, spotęgowana zobopólne uczucia. Wtedy, to ułożyli stanowczo plan swej wspólnej przyszłości. Paula wracała stanowczo do dawnej, h zamiarów

swych i nieodmiennie postanawiała za kilka miesięcy wyjechać do Zurichu, w celu studowania medycyny. Pięć lat tam pozostanie, a potem z patentem akademickim i stopniem doktora wróci do kraju, zamieszkać z Janem w jakimś wielkim mieście i nie rozstana się już z sobą nigdy, nigdy! Tymczasem będą do siebie pisywać bardzo często, a może też Jan znajdzie sposób odwiedzania ją, choć raz w rok, w Zurichu. Ze pozostanie dla niego stała, o tem nawet mówić nie potrzebowała, zarówno jak nie wątpiła o jego wierności. O akademiji i studiach medycznych mówiąc, płonęła cała zapalem i świetnymi nadziejami. Byłaby nawet wyjechała natychmiast, ale naprzód: zbyt ciężko jeszcze byłoby im obojemu rozstać się z sobą, następnie musiała zdobyć sobie jakieś środki pieniężne!... Jakim sposobem? Raz, w chwili szczególnego wylania, wyznała Janowi, że po wielekroć już próbowała pisać i że wogóle, miała wielki pociąg do pióra. Możeby autorstwo utorało drogę doktorstwu. Nie była tylko pewną, czy ma istotny talent. Niech to Jan osądzi. Z głębin jednego z kufków, ukazało się wtedy kilka grubych zeszytów, wypełnionych drobnymi pismem. Gdyby się rzeczy te już gotowe dały spieniężyć, sformowałyby się od razu spora sumka. Trzeba tylko, aby Jan przeczytał i osądził. Przez kilka wczorajów, do późnej popołudniowej godziny, czytali grube zeszyty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

inicyatywy, którzyby, oprócz dobrych chęci i poczucia obywatelskich obowiązków, posiadali jednocześnie wpływ odpowiedni, stosunki obszerniejsze i majątek. Powodem częściowego braku solidarności naszego ziemiaństwa jest ta różnorodność, patrokacizna rażąca, jaka się tu spotyka, brak nieraz zupełny wykształcenia w tej, bardzo nielicznej i dotego uzbieranej z rozmaitych żywiołów, klasie, niepołączonej z sobą żadnymi węzłami, i nie tylko obcej sobie wzajemnie pochodzeniem językiem i wyznaniem, ale wrogo się trzymającej pomiędzy sobą. Łączność istnieje tylko tam, gdzie idzie o kieszeń, ażeby z ziemi wyciągnąć wszystkie zyski, jakie się tylko dadzą, a potem ją porzucić, przypominając system wielkorosyjskiego «kułaczestwa». Na tem polu wyzysku każdy z gospodarzy tutejszych się zgadza z innymi, czy będzie to dzierżawca, lub właściciel, polak lub rosyjanin, małorusin lub staroobriadiec, żyd, Niemiec lub pop. Taki to jest stan ziemiaństwa naszej prowincyi w ogólności, wytworzony przez rozliczne warunki i okoliczności; jeżeli w niektórych miejscach jest inaczej, to są tylko wyjątki. Ekonomicznej ruiny, jak w guberniach litewskich, lub na Wołyniu, tu nie mamy, materyalny stan ziemiaństwa lepszy, a w latach ubiegłych jeszcze bardziej się poprawił z powodu urodzajów i wysokich cen na pszenicę, nigdy dawniej tu nie praktykowanych.

Nie jeden może, przeczytawszy niniejszą korespondencję, nie tylko nazwie mnie pesymistą, ale co gorsza, może posądzić o demagogię, za nieuznanie i odsądzenie od znaczenia klasy ludzi, przed którą u nas ze zwyczaju dawnego głowę schylano; a inny może zawołać jeszcze, za co wymagać od nieszczęśliwego, upośledzonego i przyciśniętego ziemiaństwa tyle pracy i ofiar! Więc na odpowiedź tym wszystkim w obec naszych stosunków w guberniach południowo-zachodnich, przywiodę dla przykładu jedną z najbardziej północnych gubernij litewskich, kowieńską, która w obec innych znajduje się w położeniu o wiele lepszem.

Zaszczytnie też ziemiaństwo kowieńskie przoduje wszystkim innym w kraju zachodnim, jakby wskazując drogę, po jakiej kroczyć mają, i znajdując się jednocześnie w warunkach bez porównania gorszych od naszych, bo tam i ziemia uboższa, wymagająca pracy nie mało i nakładów bez porównania większych, a pomimo tego jednak i stan włościan i obywateli jest tam stosunkowo lepszy, aniżeli w ogóle w Królestwie i kraju zachodnim, wyjąwszy może chyba gubernię witebską.

Blizkie sąsiedztwo Prus oddawna sprawiło, że Niemcy spieszyli nabywać w gub. kowieńskiej ziemię, uważając, że ten łakomy kąsek musi uleżeć pod naciskiem ich cywilizacyjnej misji. Naprózno jednak ludzili się. Jeżeli dziś Niemcy nabywają ziemię w gub. kowieńskiej, to tylko na pograniczu, bo całe ziemiaństwo, od lat kilku wzmocnione, silny postawiło im opór i wspólnie z ludem mocno trzyma się ziemi przodków. W guberni kowieńskiej inicjatywę kilku ludzi dobrej woli podtrzymało całe ziemiaństwo i przed kilku laty prywatnymi środkami otworzyło szkołę realną w Rossieniach; powstała też myśl utworzenia progimnazjum w Telszach, prywatnymi środkami urządzają się wystawy rolnicze w Szawlach i Retowie i t. p.

Ziemiaństwo kowieńskie pierwsze w zachodnim kraju przyczyniło się do utworzenia dla włościan kas zaliczkowo-wkładowych, które tam tak są rozwinięte i wydały pożądane owoce, a myśl do ich urzeczywistnienia, przez jednego z pierwszych inicjatorów rzucaną przed kilku laty, a mianowicie przez p. Pawła Puzyńkę w poniewieżskim, stanowi godny naśladowania przykład dla całego kraju zachodniego. Ziemiaństwo tamtejsze również pierwsze w kraju podniosło sprawę w obec rządów, w kwestyi bardzo doniosłej t. z. «wolnych ludzi», czem dało dowód, że wyżej stawia dobro kraju i spokój domowy nad swe interesy osobiste. Ono też nie dawno wystąpiło w kwestyi ubezpieczenia obywatelskiego w guberni zabudowań i inwentarzy gospodarczych.

A wszystko to działo się nie jakaś *force majeure*, ale solidarność obywatelstwa w sprawach

publicznych i dobre chęci kilku ludzi. Ta jednak łączność, która istnieje w gub. kowieńskiej, wytworzyła się w skutek pewnego ustroju społecznego, jakiemu słów kilka chcę poświęcić. Mało tam jest bardzo większych właścicieli, a cała gubernia składa się przeważnie ze średnich właścicieli, mających od 200 do 800 dziesięcin ziemi. Obywatelstwo jest jednolite wiarą i pochodzeniem z ludem, dążności mają wspólne. Stosunki włościańskie umiało ono uregulować. Włościanin tam po radę idzie do dworu, nie widząc w panu swego wroga. Sprzedaże ziemi, jak wyżej powiedziałem, w ostatnich latach są wyjątkowe. Położenie guberni niedaleko morza, wśród więcej ucywilizowanych sąsiadów Prus i Kurlandji, wiele przyczynia się do ożywienia i podniesienia handlu miejscowego i do umiejętniejszej uprawy ziemi. Lud litewski, pod wpływem katolickiego duchowieństwa, wychodzącego z jego łona, zachował język w czystości, umie czytać i jest moralniejszym, a duchowieństwu swemu tylko zawdzięcza swoją wyższość od ludności innych guberni zachodniego kraju. Co się tyczy szlachty tamtejszej, to ta, od dawna pogrążona w pracy około roli, nie miała i czasu i środków przy małych dochodach do używania i oddawania się zbytkom i marnotrawstwu, które do ostatnich lat tak były rozpowszechnione w innych prowincjach, a szczególnie na Rusi. Jeżeli równość gdzie utrzymała się pomiędzy szlachtą to tam tylko.

Położeniu też swemu ten kawałek północnej Litwy zawdzięcza, że przy upadku Rzeczypospolitej nie mogły tam zepsute obyczaje się szerzyć, bo w tym dalekim i głuchym na owe czasy zakątku, wśród wód i lasów ogromnych, obcym dla wojen, które przyprowadziły kraj do upadku, życie, pełne politycznych wypadków i awanturniczych przygód XVII i XVIII stulecia nie miało miejsca, jak się to działo na południowych kresach dawnej Rzeczypospolitej. Temu też trzeba przepisać, że prowincya ta mogła wówczas wydać wielkiego obywatela i filantropa Karpią, wracającego wolność tysiącom swych poddałych.

W guberni kowieńskiej znajduje się masa drobnej szlachty-szaraczków, którzy dzieci swe kształcili jeszcze do niedawna w licznych gimnazjach tamtejszych, jak: w Kownie, Kiejdanach, Krozach, Poniewieżu i Szawlach. W Kownie do r. 1862 istniały tak zwane ogólne mieszkania dla 85 uczniów, po większej części dla dzieci drobnej szlachty, lub włościan, utrzymywane kosztem ks. Ireneego Ogińskiego; w Szawlach znowu na gimnazjumłożyli hojną ręką hr. Zubowy. Temu to zawdzięcza gubernia kowieńska, że ze swych szkół dawała zawsze tak znaczny procent młodzieży uniwersytetom. A ileż to młodzieży kształciło się i kształci z tamąd w pobliższej Mitawie, Rydze i Dorpacie. Uniwersytet wileński miał też ogromny wpływ cywilizacyjny, oświecając swym blaskiem przez czas długi stare puszczę Litwy i Żmudzi. Wychował on nie mało młodzieży litewskiej, rozsyłając ją jako pionierów oświaty na rozległe ziemie zachodniego kraju. I dziś jeszcze szczątki tej wielkiej armji cywilizacyjnej pozostały na dalekich krańcach południa.

Temu, co powiedziałem, zawdzięcza zakątek północnej Litwy z ziemią piaszczystą i ubogą, swą wyższą kulturę. Z tego to zakątku, przed wiekami pogrążonego w barbarzyństwie, z nad brzegów Niemna, Wilji, Niewiaży, Dubissy i Śniętej, jak również z ubogich i piaszczystych wiosek Żmudzi, pozagradzanych dziś dokoła i obstawionych krzyżami, powychodzili ludzie, którzy spełnili wielkie dziejowe zadanie; mając zmysł organizacyjny i pojęcie silnej idei państwowej, podbili oni zwaśnionych książąt Rusi południowej, a uznając ich wyższą cywilizację, nie pastwili się jednak ani nad ich obcym sobie językiem, wiarą i wyższą oświatą, a kolonizowali tylko dalekie ziemie. Ten zmysł kolonizacyjny i zdolności gospodarcze odziedziczyła liczna szlachta-szaraczkowa, wychodząca z tamąd na dalekie ziemie południa, słynąca ze swej nieczciwości, pracowitości i oszczędności, pomiędzy liczną klasą oficyalistów, dzierżawców i t. d. na Rusi. Wychodzący z Królestwa, Galicyi i Poznańskiego, choć

się tu zdarzają, najczęściej jednak nie mają tego zmysłu kolonizacyjnego co Żmudzi, a ubierawszy gotówkę, wracają do swych prowincyj, nie osiedlając się jak ci na Rusi. Zakątek tej ziemi litewskiej, o którym wspominałem, nie wydał, co prawda, genjuszów i mało ludzi wyższego talentu, pod tym względem ustępuje najuboższej prowincyi Polesia litewskiego, Nowogródzkiemu, które w życiu duchowem narodu naszego najzaszczytniejsze zajmuje miejsce, wydawszy nam Kościuszkę, Mickiewicza, Kondratowicza i Domejkę! Lecz co się tyczy pracy mrówczej, nie zrażającej się niczem i wytrwałej, to oddać trzeba pierwszeństwo wychodźcom w ogóle z Litwy, a szczególnie z guberni kowieńskiej, zahartowanymi w pracy gospodarczej, którzy po dziś dzień jeszcze wciąż nadciągają—uprawiać bogate łany dalekich kresów południa.

Jan Ilgowski.

Wilno, 12 stycznia.

Kiedys, w dalekiej przyszłości, kiedy terazniejszość przejdzie do historii, jeżeli komu wypadnie zajrzeć do biblioteki wileńskiej, a znajdzie tam szereg rękopisów z napisem: «przywieszony ze Lwowa przez J. Gołowackiego», lub «ten rękopis na wieczne czasy ma pozostać przy takiej to cerkwi», mimowoli postawi sobie pytanie, co to ma znaczyć i jak się to stało? Lecz jak książki, tak i rękopisy mają swe dzieje i różne przechodzą koleje. Biblioteka wileńska zaczęła się wzbogacać w rękopisy od czasu, kiedy za staraniem hr. Eustachego Tyszkiewicza, powstała w roku 1856 muzeum starożytności w Wilnie. Pierwsi przedstawiciele muzeum nie oszczędzili trudów i kosztów dla wzbogacenia tegoż. Dary napływały ze stron rozmaitych i w r. 1865 ze źródeł prywatnych zebrano sporą wiązaną rękopisów: 538 rękopisów i 2,077 dyplomatów. Ze zmianą warunków zmienił się los muzeum i biblioteki.

Byli kurator okręgu naukowego w Wilnie, p. Batuszkow, zorganizował komisję, której polecił zbieranie rękopisów ruskich i słowiańskich na Litwie. Rozpoczęły się poszukiwania, które w wielu razach przynosiły plony obfite i cenne. Tak np. w cerkwi w Turowie, guberni mińskiej, w skrzyni od węgla znaleziono pergamin wieku XI, zawierający cenne ułamki starożytnej ewangelji słowiańskiej. Komisya otrzymała polecenie nietylko wynajdywania i opisywania rękopisów, lecz i przewożenie ich do Wilna. Wszystkie ważniejsze rękopisy monasterów przeszły na własność biblioteki wileńskiej. Sekularyzacya klasztorów dostarczyła ogromny zbiór książek i rękopisów łacińskich. Na czele biblioteki stanął p. Jakow Gołowacki, przybyły do Rosji w r. 1867 ze Lwowa, gdzie niejakiś czas wykładał na uniwersytecie i dostąpił godności prałata. Zwieziona zewsząd, paki ksiąg trzeba było rozpatrzyć i przyprowadzić do porządku. Pracowano nad tem lat siedemnaście, a dotychczas nie wiemy, co zawierają w sobie te zbiory. W zarządzie biblioteki, byli przeważnie ludzie nieudolni, nieprzygotowani zupełnie do pracy, której się oddali. Jako dowód tego można wskazać na zes. 1-szy opisanie rękopisów p. Hildebrandt'a z r. 1871, praca tak lichy wykończona, że zarząd biblioteki nie zdecydował się drukować dalszego ciągu. Przy tem ludzie fachowi, wysłani z Petersburga zadecydowali, że lepiej niech rękopisy nie będą opisane, niż mają być opisywane w sposób, praktykowany w Wilnie. Z tych to powodów z przyjemnością chcieliśmy powitać świeżo wydany w Wilnie opis rękopisów słowiańskich i ruskich (*). Katalog ten ma większe znaczenie dla historii politycznej, niż historii literatury. Do roku 1865, powiada wydawca katalogu, nie było w bibliotece rękopisów słowiańskich i ruskich; wskutek usilnego zbierania ich po całym kraju, biblioteka otrzymała do chwili obecnej 829. W nich 232 wyłącznie teologicznych, są to teksty pisma św., ojcowie kościoła, żywoty

* Opisanie rękopisów wileńskiej biblioteki, opisał T. Dobrianski. Wilno, 1886, 8-o, str. 538.

świętych, księgi kościelne, w ogóle rzeczy niezbędne dla użytku codziennego cerkwi, nie takiego, co by wskazywało na jakieś życie duchowe, przedstawiali kościoła. 40 rękopisów, zaliczonych do *Miscelanea* (Smiesz), zawierają w sobie kilka rzeczy, mających bliższą styczność z życiem ogólnem. Jest tam kilka zbiorów, bardzo niewielkich, nauk moralnych. Co się zaś tyczy rękopisów w języku rosyjskim, to te pochodzą z wieku XIX i nie mają żadnej wartości naukowej, a tylko bibliograficzną.

W ogóle, z wyjątkiem kilku rękopisów słowiańskich, bardzo cennych, biblioteka nie zebrała nic takiego, co by stanowiło większą wartość. Zbiór ten cennym jest tylko dla dziejów życia wewnętrznego, a nie dla literatury i piśmiennictwa. Pochodzą te rękopisy z różnych miejsc, niektóre (8, 9, 12, 13) oznaczono, że przywiezione «Jak Gołowackim iz Lwowa». Większa część pochodzi z klasztorów i kościołów na Litwie, tak np. nauczyciel religii kobryńskiej szkoły powiatowej, ofiarował bibliotece rękopis, posiadający napis: «Ten epistoł wiecznymi czasy ma zostawać przy cerkwi chodyśławskiej. Proboszcz cerkwi ponikławskiej (gub. grodz.) przesał do biblioteki ewangeliję, na której napis z r. 1707: «*Ta ewangelija mając zostawać wiecznie przy cerkwi ponikławskiej za własny groszy bractwa kupienaja. Kto by jeja wziął ot cerkwi proklat budiet.*». Takie napisy zostały na wielu rękopisach, i wydawca katalogu je zawsze wskazuje, co pozwala każdemu oryentować się w dziejach zbioru.

Cały katalog sporządzony jest bardzo sumiennie i pracowicie, znać jednak, że wydawca nie jest człowiekiem fachowym i wziął się do tej pracy tylko z obowiązku swego. Bądź co bądź małe usterek wynagradza sama treść wydawnictwa. Zyczyć wypada, aby biblioteka wydała katalog łacińskich i polskich manuskryptów.

Drugim ciekawym wydawnictwem tejże biblioteki jest katalog dubletów bibliotecznych (**). Z powodu, że do biblioteki wileńskiej zostały przewiezione księgozbiory wszystkich klasztorów na Litwie, biblioteka liczy obecnie góra 26,000 egzemplarzy dubletów. Przed laty biblioteka już sprzedawała część dubletów antykwarzom wileńskim, obecnie zaś ogłasza katalog, rzeczy dotąd nierozprzedanych, i uprasza uprzejmy wszystkich, którzyby zyczyli sobie nabyć jakąkolwiek ze wskazanych książek, zawiadomić o tem zarząd biblioteki ustnie, lub na piśmie. W katalogu cena dzieł nie wskazana, i biblioteka proponuje panom nabywcom samym oznaczać ceny, lub ofiarowywać wzamian bibliotecze takie dzieło, jakich ona nie posiada. Zeszyt pierwszy zawiera dzieła teologiczne — numerów 4, 113, zeszyt drugi: historyę, filozofję, prawo, matematykę, historyę naturalną, medycynę, technologję, literaturę, sztukę, rzeczy wojenne, ekonomję, socyologję i encyklopedyę, numerów 9, 685. Najwięcej dzieł w języku polskim i łacińskim. Białych kruków nie ma, jest jednak, kilka druków z wieku XVI. Zeszyt 3-ci, dotąd nie wydany, ma zawierać katalog czasopism, i różnej treści broszury, które «przedstawiają bardzo cenny materiał do dziejów Litwy i Polski». Zwracamy uwagę na to wydawnictwo wszystkich światłych czytelników.

S...cki.

Zjazd górniczy.

Dnia 18 (30) stycznia, w sali magistratu warszawskiego, nastąpiło otwarcie pierwszego zjazdu górników. Z polecenia pana ministra skarbu, zjazdy takie mają się corocznie odbywać w rozmaitych miejscowościach, a celem ich jest podniesienie w Królestwie kopalnictwa i hutnictwa. Przewodniczący zjazdowi prezes komitetu naukowego w departamencie górniczym w Petersburgu radca tajny Jossa, w przemówieniu zagajającym zebranie, wyraził życzenie, aby rezultat z mających się odbyć narad korzystnie wpłynął na rozwój przemysłu górniczego, wszystkie bowiem osta-

teczne wnioski, do jakich zebrani górnicy dojdą, będą w formie postulatów złożone p. ministrowi skarbu dla wprowadzenia ich wedle możności jak najrychlej w wykonanie. Przewodniczący zaprosił na sekretarza posiedzeń p. Kondakiego markszeidera (pomocnik inspektora) w okręgu wschodnim. Z upoważnienia zgromadzonych członków, p. Bogusławski, właściciel kopalni węgla «Flora», odpowiedział przewodniczącemu podziękowaniem dla p. ministra skarbu za urządzenie zjazdu, poczem postanowiono podziękowanie to jako telegram wysłać do Petersburga. Na tem zakończyło się pierwsze posiedzenie, poczem obecni zapisywali się u sekretarza, wnosząc jednocześnie zawiadomienie o referatach na zjazd przygotowanych. Sesyje będą się odbywały aż do wyczerpania pięciu kwestyj programu narad, a mianowicie: rozwoju przemysłu węglowego w Królestwie polskiem; rozwoju przemysłu żelaza i stali; rozwoju przemysłu cynku; szkoły górniczej i kasy oficyalistów i robotników górniczych. Z powyższych punktów jasno przedstawia się praktyczny cel zjazdu, kwestye zaś specjalne, naukowe, niemające zastosowania w przemyśle, zupełnie będą pomijane. Zapisano się wczoraj członków zjazdu 47, przeważnie polaków i kilku Niemców, właścicieli kopalń węgla oraz hut z okolic Dąbrowy i Sosnowca. W ogóle okręg górniczy zachodni liczniej jest reprezentowany, słabiej zaś wschodni, pomimo że ten ostatni posiada więcej kopalni, będących w należytym rozwoju. Czasu trwania zjazdu nie określono, a jak utrzymują członkowie zjazdu, narady potrwać mogą co najmniej 10 dni. Nazajutrz rozpoczęło się posiedzenie o godzinie 11-ej. Obecnych było 46 członków zjazdu, Prezes wniósł na stół obrad sprawę zbytu węgla kamiennego. Dyskusyę otworzył p. Strączyński, delegat towarzystwa francuzko-włoskiego w Dąbrowie, którego dyrektorem jest p. Ischo, również obecny na zebraniu. P. St. przytoczył cyfry, wykazujące szybki wzrost produkcji węgla (w 1872 r. produkcya węgla wynosiła 17 milj. pud., w 1876 r. 27 milj., w 1879 r. 66½ milj., a w 1881 r. 85 milj.), roztrząsał przeszkody tamujące zbyt produktu i w konkluzji przedstawił cztery następujące wnioski, od rozstrzygnięcia których ma zależeć rozszerzenie okręgu konsumcyjnego węgla i wytworzenie nowych rynków zbytu, a mianowicie: 1) podwyższenie cła od węgla zagranicznego, głównie szlaskiego; 2) obniżka taryfy kolejowej głównie od węgla drobnego; 3) racjonalne zabezpieczenie przez zarządy kolejowe zwrotu strat na węglu przy transportach — i 4) przeprowadzenie linii bocznych do kopalni na drodze iwanogrodzko-dąbrowskiej. Zjazd roztrząsał powyższe wnioski kolejaj. P. Huber, inżynier z Dąbrowy, podaje, iż w 1881 r. dowóz węgla obcego wyniósł 24 milj. pud., a w 1882 r. już się obniżył nieznacznie, chociaż zaprowadzona w połowie tego roku nowa taryfa celna podniosła opłatę tylko o ½ kop.; w pierwszej połowie 1881 r. dowieziono 11 mil., a w drugiej już 6½ milj. pud. Pomimo to cena węgla krajowego nie podniosła się, chociaż podług przeciwników cła powinno być inaczej. W sprawie omawianej podnosili jeszcze głos pp. Rydzewski, Strassburger i Niedzwiedzki, poczem prezes r. t. Josse postawił w konkluzji wniosek, iż zjazd uchwała podniesienie cła do 2 i pół kop. na pudzie.

Drugą sprawą, rozstrzyganą na tamże samem posiedzeniu, była taryfa kolejowa. Dziś droga wiedeńska ma taryfę 1⁶⁰ kop., od pułdowiorsty, terespolska 1/75, nadwiślańska 1/85, a po za 300 wiorstami 1/60, jak i południowe koleje. Jedną tylko petersburską pobiera aż 1/50 kop. Przedstawiciele trzech dróg żelaznych, pp. Rydzewski, Odyniec i Gutsche wykazywali, iż obniżka dzisiejszej taryfy kolejowej dla węgla jest niemożliwa. Pociągnęłaby ona za sobą niewątpliwie stratę dla dróg dla tego, iż transporty węgla są stosunkowo nieznaczne. Wnioskodawcy redukowali w końcu swoje żądania, poprzestając na obniżce taryf tranzytowych, a zachowaniu prostych, i obniżce taryfy na drodze petersburskiej do 1⁶⁵ kop. Do ważnych bardzo kwestyj należy projekt utworzenia szkoły górniczej, na której założenie już jest

początkowy kapitał, wynoszący przeszło 30,000 rs., zapisany na cel powyższy jeszcze przed 30 laty i ulokowany w banku polskim.

KRONIKA SĄDOWA.

Sprawa o pojedynek.

Sprawę o pojedynek, odbyty 6-go stycznia r. z. w łasku marymonckim, pomiędzy Bronisławem Cerenem i Napoleonem Oldakowskim, rozpoznawał w tych dniach wydział karny tutejszego sądu okręgowego. Pojedynku na szczęście nie zakończył się katastrofą śmiertelną; lecz Oldakowski był ranny dość ciężko w prawe ramię, i dla wyjęcia kuli potrzebna było wedle opinii d-ra Kosińskiego operacyi, zasadzającej się na wypłowaniu jabłka kości ramiennej, co się też o tyle pomyślnie udało, że obecnie chory przychodzi już do zdrowia, i dawno już minęło wszelkie niebezpieczeństwo życia. Na ławie oskarżonych zasiadł wyszły cało z pojedynku Bronisław Ceren. Oskarżony nie zapierał się, iż w pojedynku zranił Oldakowskiego, ale strzelać się musiał, gdyż był wyzwany. Co do przyczyny pojedynku, ta leży w zaszłych pomiędzy nimi nieporozumieniach, których natury nie życzy sobie bliżej objaśniać. Przyczyny też pojedynku bliżej wcale nie wykryto, a najbliższej wtajemniczony w stosunki między Cerenem i Oldakowskim świadek Al. Janłowski opowiedział tylko sądowni, że Oldakowski ciężko był obrażony przez Cerega, że obraza była śmiertelna, dotkliwa, ale jej szczegółów bliżej nie dano świadkowi poznać. Wyzwanie na pojedynek było skierowane przez Oldakowskiego listownie. Po przyjęciu pojedynku, sekundantem ze strony Cerega był Władysław Popławski, ze strony Oldakowskiego Franciszek Wilkoński. Oni też nie mogą powstrzymać pojedynku, układali warunki, starając się, by były o ile możności jak najłagodniejsze. Strzelać się miano na odległość 15-n kroków, jednocześnie, z pistoletów zwyczajnych bez celowników. Obecny przy pojedynku Popławski, zeznał, że po zakomenderowaniu: «Raz, dwa, trzy», Oldakowski pół sekunda wcześniej strzelił od Cerega; zaraz po wystrzalech nadbiegł, przybył na plac pojedynku ze świadkiem Radowskim, doktor Jelenkiewicz, który zajął się opatrunkiem rany chorego, poczem przewieziono go w karetce do Warszawy. Biegły doktor Kosiński, zapytany o charakter zadanej rany, zaopiniował, że rana należy do bardzo ciężkich, chociaż nie śmiertelnych. Chory wskutek tej rany, nie będzie mógł swobodnie poruszać prawą ręką. Podprokurator Ellenbogen, nie wdając się w przyczyny pojedynku, a zaznaczając tylko fakt, że był strzał i zranienie z ręki Cerega, żądał, że niego kary przy okolicznościach łagodzących. Sąd po wysłuchaniu obrony adwokata Szyja, który utrzymywał, że Ceren jako wyzwany, pojedynek przyjmować musiał, że sąd winien wniknąć w przyczyny pojedynku, że zbadawszy je, sąd dojdzie do przekonania, iż Ceren jest niewinny, — wydał wyrok skazujący Br. Cerega na zamknięcie w twierdzy przez tygodni cztery.

Sprawa parafjan kościoła św. Katarzyny w Petersburgu.

Dnia 13 bież. miesiąca, w petersburskim sądzie okręgowym, rozpatrywała się sprawa, wszczęta przez 66 parafjan kościoła św. Katarzyny, o zobowiązanie administracyi tegoż kościoła, składającej się z przeora, wice-przeora i dwóch syndyków z ramienia parafji, do zdawania rachunków przed parafjanami z zarządu funduszem kościelnym. W imieniu parafjan stawał przysięgły adwokat Czopowski; w imieniu zaś byłych syndyków, radcy tajnego Luboszczyńskiego i rzecz. rady stanu Benoit, adwokat przysięgły Gerke. Przy rozpoczęciu sprawy, adwokat Gerke oświadczył, że nie uważa siebie za uprawnionego do występowania w sprawie, ponieważ syndycy Luboszczyński i Benoit, wskutek nowych wyborów, ustąpili swoje miejsce pp. senatorowi Garkiewiczowi i dr. Krasowskiemu, od których on plenipotencyi nie posiada, a zatem prosi o zwolnienie go od obowiązku obrony administracyi kościelnej. Sąd uznał oświadczenie p. Gerke za słuszne i uwolnił go od uczestniczenia w sprawie. W dalszym ciągu przeczytany został referat, z którego widać, że d. 11 czerwca 1882 r., adwokat Czopowski, w imieniu 66 parafjan, wyszczególnionych w podaniu, zwrócił się do sądu z prośbą o zobowiązanie administracyi kościelnej, żeby dozwolonym było parafjanom przejrzeć wszystkie księgi, rachunki i dokumenta, odnoszące się do zarządu funduszem kościelnym, jak w obecnym czasie, tak i za przeszłe lata. Żądanie takie plenipotent parafjan motywował w sposób następujący: Kościół św. Katarzyny w Petersburgu, wzniesiony z dobrowolnych składek parafjan, włada bardzo znacznym funduszem, powstałym również z ofiar i przeznaczonym,

***) Katalog dubletów wileńskiej publicznej biblioteki. Wypuszczonej. Wileń, 1882, 8-o, str. 286.

w liczbę innych, na cele użyteczności ogólnej miłosierdzia. Majątek ten stanowi własność parafji i z tego powodu może być rozporządzany według ich woli, co znajduje potwierdzenie w prawie, ustanawiającem dla zarządu funduszami kościoła 2-eh syndyków z wyboru parafjan. Ponieważ prawo dozwala parafjanom wybierać syndyków, a zatem ci ostatni obowiązani są z kolei składać rachunki i sprawozdania parafjanom. Wszakże atoli zdawanie rachunków, powinno być wzmacnione rzeczywistymi faktami lub dokumentami, które w danym razie reprezentują księgi rachunkowe i dokumenta zarządu funduszów parafjalnych. Przeciwno takiemu żądaniu parafjan, syndycy Luboszczyński i Benoit przedstawili przez swojego plenipotentę odpowiedź, (przeor ks. Kolupajło i wice-przeor ks. Kononowicz, żadnej odpowiedzi nie dali), w której kwestionowali prawo pojedynczych parafjan żądać czegokolwiek od administracji bez pełnomocnictwa ze strony całej parafji, a także prawo parafji, żądać rachunków i sprawozdań od administracji, która obowiązana jest w tym względzie zdawać rachunki tylko przed wyższą władzą kościelną. Po przeczytaniu referatu, słowo było udzielone panu Czopowskiemu. Plenipotent zwrócił przedewszystkiem uwagę sądu, że w podaniu b. syndyków, 66 parafjan, od których on staże, nazwani są «wydajcami siebie za parafjan». «Wyrażenie to, mówił p. Czopowski, podaje niejako w wątpliwość, czy rzeczywiście osoby, które daly plenipotencję na prowadzenie niniejszej sprawy, należą do parafjan św. Katarzyny. Jeżeli podobne podejrzenie rzeczywiście egzystuje, proszę sąd o wydanie świadectwa, mocą którego mogą dostarczyć od władzy kościelnej należyte dowody». Prezes. Czy pan żąda odroczenia sprawy, w celu dostarczenia tych dowodów. Obronca. Nie, powiedziałem to tylko warnkowie. Jeżeli sąd podziela podejrzenia plenipotenty syndyków, w takim razie obowiązują się, dostarczyć omówione dowody. Prezes. Sąd nie może panu wypowiadać częściowo swoich poglądów. Proszę o stanowcze oświadczenie, czy żąda pan odroczenia lub nie. Obronca (po pewnym wahaniu się). Proszę o rozpatrywanie sprawy...

Prokurator zaopiniował, że wątpliwość syndyków co do pojedynczych osób z parafji jest uzasadnioną, i że parafjanie nie mają prawa żądać od administracji obrachunków, ponieważ takowe prawo przysługuje tylko duchowieństwu i dla tego domagania się parafjan powinny być stanowczo odrzucone. Sąd wydał wyrok uchylający prośbę parafjan.

ZIEMIE I KOLONJE SŁOWIAŃSKIE.

LWÓW. «Słowo» donosi, iż podróż do Wiednia ks. bisk. Sylwestra Sembratowicza, z której ma właśnie w tych dniach powrócić, ma bardzo doniosłe znaczenie. Chodzić ma o zaprowadzenia gregoryańskiego kalendarza w cerkwi ruskiej.

LWÓW. Świecenie niedzieli. Deputacya obywateli lwowskich wręczyła prezydentowi miasta Lwowa, dr. Michałowi Gnoińskiemu petycję, opatrzoną 4,000 podpisów, w której mieszkańcy stolicy galicyjskiej domagają się ogólnego święcenia niedzieli i świąt.

KRAKÓW. Dążność do wykupywania dóbr ziemskich przez starozakonnych wzmagą się w Galicyi, jakby na dane hasło, ale budzi się też poczucie niesprzedawania ziemi rodzinnej, choćby ze znaczną korzyścią, jeśli konieczność do tego nie zmusza. «Czas» dowiadyuje się, iż Janowi Matejce ofiarowano za Krzesławice cenę o 30,000 złr. wyższą od tej, za którą przed kilku laty wieś nabył. Matejko ofertę odrzucił. W podobny sposób postąpił też znany komedyjopisarz Władysław hr. Łobzobrodzki. Za śliczne jego Chłopice niejaki Robinson, quasi Rotschild jarosławski, dawał 5,000 złr. zysku nad pierwotną cenę kupna. Łobzobrodzki wszakże Chłopice nie sprzedał i nie sprzeda.

KRAKÓW. Koło artystyczno-literackie w Krakowie nie odstąpiło od projektu zakupu wspólnego «Gładjatora» Welońskiego, na rzecz muzeum narodowego. Pierwszą ratę w sumie kilkuset złr. wysłano już artyście do Rzymu, na dalsze zbierają się fundusze.

KRAKÓW. Rada miejska na poniedziałkowym posiedzeniu uchwaliła program obchodu jubileuszowego obrony Wiednia. Według tego programu, w przeddzień rocznicy otwarta będzie wystawa zabytków z epoki Jana III-go. Wieczorem tegoż dnia danem będzie przedstawienie sztuki uwieńczonej na konkursie, umyślnie na ten cel rozpisany. W samą rocznicę dnia 12-go września, odbędzie się uroczysta procesya z kościoła na Piasku do katedry na Wawelu. W kościele ks. kar-

melitów, na przedmieściu Piasek znajduje się obraz Matki Boskiej, przed którym Sobieski modlił się, idąc na wyprawę wiedeńską, i w tym roku właśnie przypada koronacja tego obrazu. Tegoż dnia odsłonięta zostanie płaskorzeźba pamiątkowa Welońskiego, na ścianie zachodniej kościoła N. Maryi Panny, zwróconej frontem ku Sukiennicom. Wieczorem miasto będzie iluminowanem. W ciągu całej uroczystości grób Sobieskiego będzie otwarty dla zwiedzających, i rozdawane będą publiczności książeczki pamiątkowe o odsieczy wiedeńskiej.

WIENI. Niedawno zmarł w Austrii p. Lewenstein, znany tłumacz pisarzy polskich i rosyjskich na język niemiecki, urodzony w m. Brody w 1814 roku, później lekarz w Brzezanach w Galicyi. W bardzo młodych jeszcze latach p. L. został współpracownikiem «Biblioteki Powszechnej» Reklama, w Lipsku, i tam umieszczał swoje przekłady. Literatura niemiecka zawdzięcza mu przyswojenie jej utworów Kraszewskiego, Rzewuskiego, Zielińskiego, Litwosa i Gogoła. Ostatnią i niedokończoną już pracą zasłużonego literata był przekład powieści Dantlewskiego: «Wola».

WIENI. Dwaj posłowie rusińscy w parlamencie wiedeńskim Kowalski i Kulczkowski, przyłączyli się obecnie do nowego «liberalnego» klubu hr. Coroniniego. Do klubu tego należą sami Niemcy i oprócz dwóch rusinów nie ma w nim ani jednego słowianina; oprócz tego wszyscy członkowie tego klubu są właścicielami większych posiadłości z wyjątkiem jednego adwokata i jednego notariusza. Widocznem więc jest, że taki klub stawać będzie w obronie nie włościan, ale większych posiadaczy ziemskich. Fakt ten jest jedną z tysiącznych ilustracyj anormalnych stosunków, istniejących między Polakami i Rusinami w Galicyi.

KAIR. W pierwszych dniach grudnia z. r., pisze «Czas», umarł w Kairze, w tamtejszym szpitalu europejskim, ks. Wincenty Jarmoliński, pochodzący z guberni mińskiej, wychodźca z r. 1863, od wielu lat zamieszkały w Egipcie. Jako misjonarz, s. p. o. Wincenty przebywał jakiś czas w głębi Sudanu, nad Białym Nilem, lecz zabójczy klimat zmusił go powrócić do Kairu, dokąd przybył z zarodem choroby, która go miała przypisać o przedwczesny zgon. Odbarzony wielką pracowitością i szczególną zdutnością do lingwistyki, wyuczył się dobrze języków arabskiego i koptyjskiego, co mu dozwoliło wstąpić w poczet duchowieństwa koptyjsko-katolickiego. Od trzech lat ks. Jarmoliński, znany od krajowców jako «Abuna Mansur», czyli O. Wincenty, zarządzał obszerną parafją, położoną w górnym Egipcie, niedaleko dawnych Thebów.

Z TEATRU POLSKIEGO.

We czwartek, na scenie teatru polskiego odegrano po raz pierwszy «Syna puszczy», dramat niemiecki, osnuty na tle stosunków cywilizowanych Greków z barbarzyńskimi hordami ich sąsiadów. Rzecz dzieje się w głębokiej starożytności, gdy Marsylja była jedną z kolonij, zakładanych przez Greków nad brzegami morza w krajach dalekich. Niewielka scena naszego teatru, to zapełnia się leśną gęstwiną, upstrzoną postaciami dzikich, skórami odzianych Tektosagów (jednego ze starych plemion galijskich), to przedstawia zakątek ówczesnej Marsylji z gromadką wykwintniejszych już nieco jej mieszkańców. Treść dramatu wypełnia postać Ingomara dzikiego, lecz szlachetnego wodza hordy tektosagów, ulegającego stopniowo, lecz zupełnie siłom niewieścich wdzięków i uczucia, zbudzonego w niem przez piękną Greczynkę Partenję. Jest to wielki duet, w którym melodia miłosna snuje się na tle ciągłych kontrastów i kończy się szczęśliwą harmonją zobopólnego zwycięstwa.

Rola Ingomara jest bardzo trudną. Oprócz najłatwiejszych do zrozumienia, a przy warunkach fizycznych i do oddania, wybuchów dzikiego temperamentu, obfituje ona w ustepty głęboko liryczne i prócz tego oparta jest na wielu subtelnościach psychologicznych, na dziwnym wewnętrznym chaosie, spowodowanym przez wdarcie się całkiem nowych pojęć i uczucia w duszę człowieka, czującego

w sobie działanie potęgi tych nowych pierwiastków, lecz stopniowo tylko przychodzącego do ich świadomości.

Uwydatnienie konsekwencji tych objawów jest rzeczą trudną. To też p. Leszczyński, nie zupełnie podolał zadaniu. Ratowało go kilka scen pojedynczych, opartych głównie na objawach brutalnej siły i bogactwa warunków fizycznych, całość jednak wyszła tak niejednolita, że niepodobna jest dowiedzieć się, jak artysta zrozumiiał odwarzaną przez siebie postać. Jego Ingomar raz dzikością swą przypomina ludzi z najprawniejszej epoki, to zaraz potem mówi zupełnie jak człowiek cywilizowany, to znów inne rzeczy akcentuje tak niewłaściwie, że radzi się mimowoli pytanie, czy sam je dobrze rozumie? Przytem miejsca liryczne w jego grze nie posiadały tej siły, jaką daje tylko wielka prawda akcentu. Talent p. Leszczyńskiego przedstawił nam się w tej roli, jako ruda, przetapiana chwilami na metal przez ogień zapału. Lecz w braku inteligentnej ręki, która by potrafiła nadać nu artystyczne formy, — metal pozostaje chociaż polyskującą, lecz nieforemną bryłą.

Kto chce widzieć, jak można popsuć bardzo dobrą rolę, niech zobaczy panią Orsetti grającą Partenję. Nie wiem, czy też artystyce znane są słowa znakomitego poety, że odtwarzając posagowe postacie starożytne, należy o nich mówić «prosto i z krzykiem». Lecz chociaż Partenja nie jest postacią posagową, lecz powabną, pełną uczucia i wdzięku Greczynką, pani Orsetti uznała za właściwe, zastosować do tej roli radę poety zupełnie dosłownie.

W ubiegłą sobotę, wznowiono «Zemstę» Fredry. Rola cześnika, tak mistrzowsko grana przez Rychtera, odegrał gościnnie artysta petersburskiego baletu p. Krzesiński. Gry p. Krzesińskiego oceniać nie będziemy, jako gra amatora, nie podlega ona bowiem krytyce, przeciwnie znać musimy dobre chęci p. Krzesińskiego, który chciał swój trzydziestoletni jubileusz upamiętnić dobrym uczynkiem. Nie możemy jednak przebaczyć dyrekcji teatru, która przekonawszy się z prób, że p. Krzesiński roli «cześnika» grać nie może i nie powinien, poświęciła względy artystyczne innym, nie mającym nic ze sztuką i zadaniem teatru wspólnego. Zaimprovizowana przez p. Tekla uroczystość wienczenia zasług baletniczych, położonych na innej scenie, przez trupę dramatyczną polską, było również rzeczą nietaktowną. Naturalnie, w całej tej sprawie p. Krzesińskiego rozgrzeszamy najzupełniej.

Spectator.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

«Głos» powtarza za dobrze poinformowaną «Gaz. Koloń.», wiadomość według której w kolach kompetentnych taką podają treść układów, zawartych pomiędzy rządem rosyjskim a kurją rzymską: Opróżnione posady biskupie obsadzone będą niebawem przez osobistości, na które się już obopólnie zgodzono; prawdopodobnie nastąpi z początkiem lutego ogłoszenie ośmiu nominacyj; kilku biskupów sufraganów mianowanych będzie nieco później. Kościół rzymski będzie miał swobodę działania w seminariach, wszoloko przy zastrzeżeniu «droits de l'Etat» (prawnej ingerencji rządu); określenie daje, zdaniem korespondenta, rządowi możność wystąpienia, skoroby spostrzegł, że wolność nauczania, udzielona Kościołowi, nadużywana jest dla celów politycznych. Wygnani biskupi nie wracają do swoich diecezji. Stosunki pomiędzy katolickimi biskupami a papieżem mogą być utrzymywane tylko za pośrednictwem rządu rosyjskiego, a mianowicie za pośrednictwem departamentu obcych wyznań, a więc obecnie za pośrednictwem szefa tegoż departamentu księcia Kantakuzena i agenta dyplomatycznego w Rzymie, Buteniewa. Kwestya, czy w niektórych okregach, gdzie ludność rozumie tylko po rosyjsku, ma być przy służbie bożej używany język rosyjski, nie jest, o ile dotąd wiadomo, rozstrzygniętą. Natomiast trudności, które powstały wskutek przynależności okregu kieleckiego do Krakowa, załatwione zostały w myśl życzeń Rosyi.

× Donoszą do «Ruskich Wied.», że w sferach dyplomacji rosyjskiej uparcie krąży pogłoska o krokach, poczynionych jakoby przez rząd rosyjski u Porty, w kwestyi usunięcia z urzędu Rumelji Aleko-Paszy, generał gubernatora (księcia Wogoridesa), za wyrządzoną przez niego zniewagę Rosyi w osobie jej przedstawiciela p. Krebel, z którym Aleko zerwał samowolnie wszelkie dyplomatyczne stosunki w sprawach powierzonego mu przez Portę kraju.

× «Birż. Wied.» donoszą: «W sferach finansowych nie ustają pogłoski, łączące zamierzone znaczne zmiany z imieniem byłego ministra skarbu, p. Abazy, który miał niedawno zaszczyt być przyjętym przez Jego Cesarską Mość. Prasa zagraniczna przywiązuje wielką wagę do tych pogłosek i wpływowi ich zawdzięczać należy podniesienie się papierów rosyjskich na giełdach zagranicznych ostatnimi dniami.»

× Piszą do «Nowostiej», że za wspólną zgodą ministra spraw wewnętrznych i ober-prokuratora synodu, ustanowiony zostanie komitet w celu opracowania zebranych już danych w kwestyi przechodzenia z jednego na drugie z chrześcijańskich wyznań, mianowicie małżeństw, przechodzenia mahotan i innych różnowierców, chrzest których dotąd odbywać się mógł tylko z Najwyższego zezwolenia Jego Cesarskiej Mości.

× Nowa ustawa dla uniwersytetów ma zaprowadzić, według słów «Pet. Wied.», jedną pożądaną reformę, ma być mianowicie *pozwolone studentom słuchać kursów na wybranym fakultecie i na innych, które uznają za pożyteczne dla siebie, stosownie do planu przedmiotów na swym fakultecie, lub do swych osobistych potrzeb i wymagań.* Ułożony przez studenta spis kursów, na jakie uczęszczać sobie życzy, winien będzie tenże wręczać któremu z profesorów fakultetu, a ten poświadczać spis ten będzie swym podpisem. Jeśli jeden i tenże sam przedmiot wyklada kilku profesorów, student będzie miał prawo wybrać z nich jednego, by słuchać jego wykładu. Jeśli jednak wybrany prowadzący wykład nie będzie posiadał stopnia doktora lub magistra, to wybór nań padły musi być zatwierdzony przez fakultet.

× Ministerstwo oświaty narodowej roztrząsało niedawno ważną dla naszego społeczeństwa kwestyę równouprawnienia gimnazyów prywatnych z rządowymi co do obowiązującej służby wojskowej. Postanowiono, jak twierdzą «Nowosti», udzielić gimnazjom prywatnym także same przywileje co i rządowym, lecz z warunkiem, żeby 1) uczniowie gimnazyów prywatnych, zdający egzamin z kursu sześciu klas gimnazjum rządowego przebyli w niem nie mniej trzech lat; zdający zaś z kursu czterech klas, nie mniej dwóch lat; 2) żeby egzamina odbywały się w obecności i pod kierunkiem deputatów od okręgu naukowego, a także według programu egzaminacyjnego zakładów rządowych.

× Komisja administracyjna pod przewodnictwem sekretarza stanu Kochanowa, przystąpiła 7 stycznia do rozpatrzenia instytucji ziemskich. W kwestyi «obszczyzny» gminnej, komisja oświadczyła się za jej utrzymaniem z warunkiem jednak włączenia do niej innych elementów, mieszkających w obrębie gminy. Niezależnie od tego komisja obstaje za nienaruszalnością obszczyznej (wspólnej) własności ziemskiej.

× Ziemstwa wnosily niejednokrotnie do ministerstwa sprawiedliwości kwestyę wynagrodzenia przysięgłych włóscian, którzy oderwani od pracy i nie posiadający środków utrzymania się bez niej, musieli uciekać się do jałmużny w czasie trwania sesyj. «Nowosti» donoszą, że ministerstwo wydało rozporządzenie, nakazujące wykreślanie ze spisów przysięgłych osobistości, nie będących w stanie utrzymania się w czasie posiedzeń sądów. Dla dowiedzenia niezamieszkałości, powinno się przedstawić poświadczenie sędziego pokoju lub właściwego zarządu.

× Posiedzenia komitetu, zajmującego się kwestyą szkół kościelno-parafjalnych, mają się ku końcowi. «Cerkow. Obszczest. Wiestnik» donosi, że ustawy już zostały ułożone,

i przyjęte przez komitet. Układają się jeszcze suplementy. W interesach rozwoju wymienionych szkółek, jako też dla podtrzymania duchowieństwa w pracy około oświaty ludowej, postanowiono prosić rząd o subwencję w rozmiarze 10,000 rs., na każdą diecezyę.

× Dnia 14 stycznia, naczelnik zarządu prasy p. Feoktistow i radcy tajny Karkow, mieli zaszczyt przedstawić się Jego Cesarskiej Mości.

× Dzisiejszy (sobotni) «Praw. Wiest» zamieszcza Najwyższą zatwierdzoną uchwałę Rady Państwa o odroczeniu terminu wprowadzenia cła od worków zbożowych zwrotnych do dnia 1 (13) sierpnia r. b. O znaczeniu tej uchwały pomówimy w następnym numerze.

KRONIKA PETERSBURSKA.

— Koadjutorem *cum jure succendi* arcybiskupa metropolity Fijałkowskiego mianowany został, jak donosi «Petersburger Zeit.», biskup sufragani i zarządzający diecezyą w Płocku Aleksander Gintowt. Biskup Gintowt ma wkrótce przyjechać do Petersburga, a wtedy załatwioną zostanie, zdaniem tej gazety, nie jedna, oddawna w zawieszaniu zostająca, sprawa.

— Na ogólnym zebraniu adwokatów przysięgłych izby sądowej okręgu petersburskiego, zwołanem w celu wybrania trzech nowych członków rady w zastępstwo pp. Gerarda, Andrejewskiego i Utina, usuwających się z powodu niezgodności w zdaniach z większością członków, zostali ponownie wybrani przysięgli pp. Gerard, Andrejewski i Utin. «Now. Wr.» pisze z tego powodu: «Fakt powtórnego obrania wymienionych osobistości i oklaski, któremi przyjęto rezultat głosowania, mogą być jasnym dowodem, że współczucie znacznej większości członków instytucji skłania się ku zapatrywaniu się tej mniejszości rady na kwestyę, która tę mniejszość przywiodła do prośby o dymisyę, nie zaś na stronę tych z członków rady, którzy uważają za nader dogodną dla siebie odłożyć przejrzanie swoich pełnomocnictw do ogólnych wyborów rocznych.» Jak wiadomo, jabłkiem niezgody w izbie adwokackiej stała się, posłana przez kilku członków jej zarządu, depesza kondolencyjna po śmierci Gambetty.

— «W dniu 21 stycznia u sędziego pokoju 2-go uczątku, toczyła się sprawa artysty tutejszego teatru polskiego p. M. Zboińskiego przeciwko dyrektorowi teatru polskiego p. J. Tekslowi. Sędzia pokoju, po wysłuchaniu stron i rozpatrzeniu dowodów, pretensye p. Zboińskiego o ra 490 rs. uchylił i skazał tegoż na zwroczenie dyrektorowi teatru 100 rs. forsusu i zapłacenie 250 rs. za zerwanie kontraktu i 30 rs. kosztów sądowych. Komunikując nam powyższą notatkę, p. Teksel prosi nas o ogłoszenie takowej, na dowód, że w sporze z p. Zboińskim, słuszność była po jego stronie. Ponieważ, p. Teksel na poparcie tej słuszności żadnego innego objaśnienia nam nie przedstawił, a tylko wyrok sędziego pokoju, winniśmy otwarcie oświadczyć, że dowód to bardzo mało przekonywający. Widzieliśmy oryginał kontraktu, zawartego między p. Teksem i Zboińskim (takie same mają i inni artyści) i nie wiemy, czemu się bardziej dziwić, czy odwadze przedsiębiorcy, czy naiwności aktorów. Kontrakt ten zredagowany jest tak... zrzeczenie, że stanowiąc silną broń w ręku jednej ze stron, dla drugiej nie ma żadnego prawnego znaczenia. Obowiązki artysty są tak mgliste, ogólnie i gumalistycznie określone, że otwierają szerokie wrota każdej samowoli. Punkt dotyczący głównego obowiązku, ciążącego zazwyczaj na pracodawcach, płacy, został tak zredagowany, że przedsiębiorca może zupełnie nie płacić artystom, ma to być bowiem tylko nagroda za «gorliwe pełnienie obowiązków», a określenie tych obowiązków naturalnie należy do przedsiębiorcy! Ze w obec takiego kontraktu p. Zboiński u sędziego pokoju sprawę przegrał, to nic dziwnego, ale nie znaczy jeszcze, żeby p. Teksel wygrał ją w opinii publicznej. Nieprzyjęcie podprzed-

nej roli przez p. Zboińskiego mogło być pociągnąć za sobą, w ostateczności karę pieniężną, jak to jest we zwyczaju, ale nie zerwanie kontraktu i pozostawienie człowieka na bruku, bez funduszu nawet na powrót, o półtora tysiąca wiorst zdala od rodzinnego miasta. P. Zboiński przez cały czas pełnił jak najsumienniejsze swoje obowiązki, występując we wszelkiego rodzaju rolach, poczynając od «Czulej struny» aż do «Panie Kochanku», grając prawie na każdym przedstawieniu. Publiczność p. Zboińskiego darzyła szczególnie swymi względami, usuwanie więc tegoż bez dostatecznej przyczyny, dowodzi, że p. Teksel nie rachuje się zupełnie z opinią publiczną.

— Z prywatnego listu Henryka Siemiradzkiego dowiadujemy się, że, zaczerpnięta z gazet krakowskich i powtórzona przez nas, wiadomość o zamierzonej podróży znakomitego malarza do Warszawy, Petersburga i Moskwy, pozbawiona jest podstawy. Siemiradzki stale przebywa w Rzymie (*Vin della croce*, 44) i o żadnej dalszej podróży, jak na teraz, nie myśli.

— W teatrze polskim, na porządku dziennym stoja obecnie benefisy. Pojutrze we wtorek 25 b. m. odbędzie się, podług ogłoszonego w zeszłym numerze programu, przedstawienie benefisowe artysty i reżysera naszego teatru p. Wład. Szymanowskiego, w jednej z najlepszych ról jego w «Pieszczoszku». We czwartek 3 lutego przypada benefis p. Felicyi Stachowicz. Sympatyczna artystka wystąpi w następujących sztukach: w Asnyka «Przyjaciółach Hioba», w udatnym dwuaktowym obrazku Glińskiego «Uczeni delegowani» i w starej ale zawsze mile witanej komedycie «Zbudziło się w niej serce». W benefisowym przedstawieniu panny Stachowicz przyjmą udział pp. Leszczyński, Szymanowski, Siemaszko i inni.

— Stefan Bakałowicz, laureat i stypendyat tutejszej akademii sztuk pięknych, przebywający od roku zagranicą, wrócił obecnie do Paryża z Algieru, gdzie bawił w celach artystycznych. Drugi stypendysta akademii, Stefan Szyler, którego projekt architektoniczny nagrodzony został w r. z. wielkim złotym medalem, bawi obecnie w Wiedniu.

— Policmajstrami petersburskich teatrów cesarskich mianowani zostali: policmajstrzem teatru Wielkiego porucznik Starszeniecki-Lapa z pułku strzeleckiego; Maryjskiego—major Butkiewicz z pułku piechoty; Aleksandryjskiego—porucznik Kleczkowski z pułku moskiewskiego; Michajłowski—chorąży gwardyi przybocznej Adamo-wicz.

— W d. 17 b. m. rozpoczął się wielki proces w tutejszym sądzie okręgowym o miljonową malwersacyę w petersburskim Towarzystwie wzajemnego kredytu. Ta *cause célèbre* przeciągnie się zapewne z parę tygodni, trzeba bowiem przesłuchać 63 świadków (w tej liczbie 6 ekspertów) i przejrzeć i sprawdzić niesłychaną ilość ksiąg i dokumentów bankowych.

— We wtorek, 18 stycznia, odbył się pierwszy występ p. Heleny Herman na scenie opery włońskiej tutejszej, w operze Ponchiello «Gioconda». P. Herman odśpiewała z wielkiem powodzeniem partycję Laury; wszystkie gazety tutejsze wyrażają się o jej wykonaniu bardzo pochlebnie. Duet z panią Durand został powtórzony. Na przedstawieniu obecni byli Ich Cesarskie Mości, członkowie rodziny panującej i dwór.

— Przybyły do naszego miasta na wezwanie księcia Demidowa San-Donato, słynny «mazurek» p. Lewandowski, dyrektor orkiestry teatru Rozmańtości, zdobył sobie w petersburskim *high-life* świetne powodzenie. Słyszeliśmy, że p. L. dyrygować będzie orkiestrą na kilku wielkich balach stolicy.

— Stan zdrowia d-ra Krasowskiego, słynnego medyka i akuszerza dworu, który wzbudzał silne obawy, jak się dowiadujemy, znacznie się poprawił. Dr. K. znajduje się już w stanie rekonwalescencyi.

— P. Wierzbiłowicz, znany i wysocę ceniony wiolonczelista, udaje się wkrótce, jak donosi «Peterb. Zeitung», w podróż artystyczną po Europie.

— Ostatni numer czasopisma «Strakoza», za-

wiera w sobie portrety główniejszych artystów i artystek naszego teatru.

= W tutejszych kółkach muzycznych krąży pogłoska, że w krótkim czasie przybędzie do Petersburga Antoni Kątski, z zamiarem urządzenia kilku koncertów.

= B. artysta tutejszego teatru polskiego, p. Gustaw Fiszler ma zamiar wydzierżawić teatr w Krynicy na lat kilka i pragnie tam ściągnąć na sezon letni najznakomitsze sily artystyczne.

= W pałacu zimowym odbył się dnia 19 stycznia wielki bal dworski. Szczegóły o nim czerpiemy z «Praw. Wiest.»: Zaproszonych było do 2,800 osób. Bal rozpoczął się o godz. 8 wiecz. W avant-sali i przez całą długość galerii Pompeusza były urządzone bufety z szampańskim, napojami chłodzącymi, lodami, cukrami i fruktami. Cały ogród zimowy i jego bijąca fontanna były uiluminowane. Wszyscy mężczyźni byli w paradnej formie. Damy w tualetach balowych, odznaczających się gustownością, przepychem i masą brylantów. Różnobarwne mundury wojskowych i cywilnych, a również członków ciała dyplomatycznego, ich złote szycia i epolety mieszały się z rozkosznymi tualetami dam. W czarnym fraku i bez żadnych orderów był tylko poseł północno-amerykańskich Stanów Zjednoczonych, p. Gent. Jego Ces. Mość był w balowym mundurze kawalerzysty gwardyi ze wstęgą angielskiego orderu podwiązki. Tańce, w których brały udział: cesarzowa, wielkie księżny i inne najwyższe osoby, rozpoczęte polonezem, trwały do północy i zakończyły się mazurem. O godz. 12 podano kolację. We wszystkich apartamentach zajętych przez bal i kolację, paliło się, prócz oświetlenia gazowego i lamp, trzydzieści tysięcy świec. Przy stole, z obu stron Ich Ces. Mości zasiadli: poseł niemiecki, generał Szwejnić i poseł angielski, sir Tornton.

= Znany fotograf, p. Szapiro, wydawca albumu portretów znakomitości rosyjskich, mianowany został fotografem cesarskiej akademii sztuk pięknych.

= Dowiadujemy się, że inżynier górniczy, radca kolegjalny Choroszewski, mianowany został naczelnikiem obu okręgów zakładów górniczych rządowych w Królestwie polskiem. P. Choroszewski pochodzi ze Zmujdzi, po ukończeniu w r. 1867 instytutu górniczego, urzędował przez lat kilka w Dąbrowie. W Petersburgu zajmował posadę urzędnika do szczególnych poruczeń w ministerstwie dóbr państwa. Wyjazd p. Choroszewskiego dla objęcia urzędu nastąpi dopiero w początkach marca po ukończeniu powierzonych mu prac w departamencie górniczym. Dotychczasowi naczelnicy okręgów górniczych w Królestwie polskiem pp. Hempel i Lisicki z dniem 1 marca r. b. przechodzą w stan spoczynku.

Z WARSZAWY.

Z wyszłego niedawno rocznika «Strażak» wyjmujemy kilka interesujących szczegółów o sympatycznej instytucji straży ogniowych w Król. polskiem. Straże takie obecnie istnieją w 63 miastach Królestwa, projektują się zaś jeszcze w dziesięciu. Najstarszą strażą ochotniczą jest straż kaliska, założona w 1864 roku dnia 5 listopada. Liczba członków czynnych straży ochotniczych wynosi od 60-ciu (w Sandomierzu) do 300 (w Łodzi), honorowych zaś od 11 (w Działoszynie) do 285 (w Włocławku). Pomiędzy członkami przeważa wogóle inteligencja, gdyż uboga wyrobnicza klasa prawie żadnego udziału w straży nie przyjmuje. Najgorliwzszymi i najliczniejszymi członkami są kupcy, przemysłowcy i rzemieślnicy. Pod względem wyznaniowym straże ochotnicze najwięcej liczą członków katolików, następnie ewangelików i starozakonnych, wreszcie prawosławnych. Starozakonni w mniejszych miastach stanowią znaczną liczbę członków, jakoto w Marympolu, na ogólną liczbę 165 członków, starozakonnych jest 82. Wartość inwentarza straży ogniowych ochotniczych wynosi od 500 rubli (Garwolin) do 9,000 rubli (w Piotrkowie). Najzasobniejszą w środki materialne oraz w inwentarz, jest straż ogniowa piotrkowska,

najuboższą zaś w całym kraju straż ochotniczą w Praszcze.

Choroba generał-gubernatora, generała Albedyńskiego przeciąga się. W tych dniach dr. Kasiński dokonał u chorego powtórna operację kamienia, która powiodła się szczęśliwie.

Dzienniki podają szczegóły o strasznym wypadku, jaki miał w tych dniach miejsce w Warszawie. Na Szmulowiznie czeladnik nożowniczy Jan Zebrowski, nie mogąc nigdzie znaleźć roboty, w przystępie rozpacz, powiesił się we własnym mieszkaniu. Poprzednio jednak powiesił dwoje swych dzieci, z których jedno urwało się i następnie było uratowane. Zona Zebrowskiego była podówczas u handlarza, któremu sprzedawała ostatki odzieży na życie. Gdy nieszczęśliwa kobieta powróciła do domu i ujrzała co się stało, dostała pomieszania zmysłów, i pomimo nadzoru, zdolała uciec. Jest obawa, że Zebrowska utopiła się; w ciągu dwóch dni na ślad jej nie wpadnięto.

Na rzecz kas pożyczkowych rzemieślniczych otrzymał «Kur. Warsz.» sumę 7,500 rs., w której mieści się 5,000 rs. od p. Jana Blocha, 2,500 zaś od małżonki jego Emilji z Kronenbergów Blochowoj.

Przedsiębiorczość zagraniczna zaczyna nabierać coraz większego upodobania do działalności w Królestwie. «Kur. Warsz.» donosi, że towarzystwo akcyjne angielskie zamierza zbudować w Warszawie fabrykę filijną lokomotyw, kompanja zaś angielska, posiadająca przedsiębiorstwo w Bradford w Anglii, skupiła znaczny obszar w kolonji Marki na skupisku radzyńskiej, dla pobudowania tam wielkiej fabryki przedzielanej.

Dnia 28 stycznia rozstał się z tym światem Józef Majewski, członek tutejszego sądu okręgowego. Zmarły oprócz obowiązków sądowych zajmował się także literaturą. W r. 1874, po ustąpieniu Szabrańskiego z «Biblioteki Warszawskiej», objął Majewski jego obowiązki i broniąc tradycyi pisma, skłonił obóz opozycyjny, wytworzony w ówczesnej redakcyi, do założenia dla siebie odpowiedniego organu. Pozostawiony własnym siłom prowadził «Bibliotekę» aż do ukonstytuowania się nowej redakcyi pod sterem Jezierskiego.

Pan Hornberg, inspektor szkół prywatnych w Warszawie, który posadę swą od czasu organizacji zajmował, usunięty został od tych obowiązków, a w jego miejsce zamianowany został p. Szynkalewski, naczelnik dyrekcji naukowej w Lublinie. Minister komunikacyi zatwierdził r. dw. Gnoińskiego, dotychczasowego dyrektora dr. zel. nadwiślańskiej, na stanowisku dyrektora drogi terespolskiej.

W sobotę 27 stycznia, w uniwersytecie warszawskim odbyła się lekcya wstępna historii literatury polskiej, przez p. T. Wierzbowskiego wykładać się mającej.

KRONIKA PROWINCYONALNA.

= Z LUBELSKIEGO. Urodzaj w tym roku był bardzo obfity, szkoda tylko, że ceny niedopisały. Za najwyższy gatunek pszenicy płacono po 7 rs. i cokolwiek wyżej za korzec, za żyto i jęczmień po 4 rs. z chems. Z ogólniejszych i donioślejszych objawów miejscowego życia zanotować wypada, że sprawa załatwienia serwitutów w roku ubiegłym posunęła się cokolwiek naprzód. Rozseparowani włościanie otrzymali wynagrodzenie w naturze: za lasy 20%, a za pastwiska 13% w stosunku do nadzielonej przy uwłaszczeniu ziemi. W zyciu gminnym ma być zastosowaniem rozporządzenie władz wyższych, wydane do naczelników powiatowych, żeby nie oni, lecz gminy, jak to wypada z odnośnego prawa, wybierali dla siebie pisarzów gminnych. Cena ziemi praktykowałą się z licytacyi po 1,500 rs. za włokę, z wolnej ręki od 2,000 do 4,000 rs. za włokę.

= Z LUBLINA. «Praw. Wiest.» podaje statystykę szkół guberni lubelskiej. Znajduje się tam obecnie 429 zakładów naukowych: instytut gospodarstwa wiejskiego w Nowej Aleksandryi, dwa gimnazya męskie, jedno w Lublinie, drugie w Chełmie, gimnazjum żeńskie w Lublinie, dwa progimnazya męskie: jedno w Hrubieszowie, drugie w Zamościu, szkoła żeńska i zakład dla nauczycieli w Chełmie; szkoła technicz-

na kolei nadwiślańskiej w Lublinie, seminarjum katolickie w Chełmie i 341 szkółek elementarnych, 10 szkół dla rzemieślników, jedna szkoła handlowa (niedzielna) w Lublinie; szkół elementarnych ewangelickich 49, szkoła dyakonów w Chełmie i 15 zakładów naukowych prywatnych. W ciągu ubiegłego roku liczba zakładów naukowych w guberni powiększyła się o 12. We wszystkich pobierało naukę 13,225 chłopców i 5,222 dziewczynki, t. j. razem 18,447. W stosunku do ludności, jeden zakład naukowy przypada na 2057 osób, jeden uczeń przypada na 51 mężczyzn, jedna uczennica na 84 kobiety.

= Z PUŁAW. W tutejszym instytucie agronomicznym personel zwierzchni zmieniony znacznie. Obiecuja sobie wiele po dobrych chęciach nowego przewodnika, który, jak dotychczas, kilka katedr, opróżnionych za rządów poprzednich, obsadził. «Czaszy też wielki, pisze z tego powodu korespondent «Gaz. Rolniczej», aby jedyna instytucja rolnicza w kraju rolniczym, wyszła z tego oplakanego i odosobnionego stanu, w jaki w ostatnich latach popadła, i ażeby przynosiła krajowi ten pożytek, dla którego jest powołana do życia». Obecnie liczy instytut około 250 słuchaczy, w połowie z Królestwa, w drugiej z prowincyj zabużnych i dalszych jeszcze.

= Z KIELC. Przepowiadana oddawna, a mało pożądana wiadomość sprawdziła się. W zeszły poniedziałek uprzedzono uczniów tutejszego gimnazjum, że od włącznie bieżącego półrocza, opłata szkolna powiększona została, a mianowicie: do klasy wstępnej z 12-stu rubli rocznie do rs. 20-stu, do innych klas z rubli 20-stu do rs. 30. Powiększenie takie mniej zamożnym, rzeczywiście da się uczuć, wszelako, jeżeli otrzymana ztąd wyższa obrócona zostanie na pomnożenie liczby równoległych oddziałów, nowe rozporządzenie w zastosowaniu zlągodziłoby tę smutną ostateczność, że dla przepelnienia klas i braku równoległych oddziałów, jak w r. b. szkolnym, bardzo wielu do gimnazjum przyjętych nie zostało.

= Z PUŁTUSKA. W zeszły wtorek odbył się w Pułtusku zjazd okolicznych właścicieli ziemskich, na którym obradowano nad dwiema, ważnymi dla całej okolicy, kwestyami. Pierwszą z nich było utworzenie spółki rolniczej komandytowej, z której inicjatywą występowano już od roku. Wszyscy zebrani jednomyślnie zgodzili się na zawiązanie spółki, i od razu stanęło do udziału 43 ziemian z kapitałem 38,000 rubli. Ostateczne ukonstytuowanie, w ten sposób zawiązanej, spółki będzie zdecydowane na przyszłym zebraniu, którego termin naznaczono na dzień 8-my lutego. Tymczasem wspólnicy na firmowych przedstawicieli wybrali: pp. Gustawa Zielińskiego z Garuwa, Gniazdowskiego z Czarnostawu i Dłużewskiego z Pobylkowa. Przedstawiciele ci wspólnie z pp. Kurtzem, Szaniawskim, Gościćkim i Wróblewskim, oraz miejscowym rejentem, opracują urzędowy akt spółki. Druga kwestya, tyżająca się założenia gimnazjum w Pułtusku, jakkolwiek wywołała ożywione rozprawy, nie doprowadziła na teraz do praktycznych rezultatów. Odłożono ją do następnego zebrania.

= Z CZĘSTOCHOWY. Wł. Kronenberg, właściciel majątku Blesznów pod Częstochową, z wiosną roku bieżącego znacznie budować w Częstochowie olbrzymią fabrykę płócien, na wzór żyrdowskiej. Plany sporządzone zostały we Francyi przez specjalnego inżyniera, który podobnych fabryk kilkadziesiąt w Europie wystawił. Trudności były w znalezieniu specjalistów polaków. Trudności te w części pokonane zostały. Inni robotnicy instruktorowie, będą sprowadzeni z Belgji. Środek to czasowy, dopóki nasi robotnicy nie wyuczą się właściwych róbót. Podobno fabryka ma być puszczona w ruch około nowego roku 1884.

= Z WŁOCŁAWKA. Pogłoski o projektowanych fabrykach, których echo i do stolicy już doszło, są przedmiotem codziennych tutaj dyskusyj. Mówiono u nas o mającej powstać wielkiej cukrowni w Wietcu, majątku p. Stanisława Kronenberga, dalej

w Brześciu, pod Osiecinami, to pod Aleksandrowem. Towarzystwo kapitalistów zagranicznych projektowało postawienie wielkiej gorzelni pod Włocławkiem, któraby przerabiała na spirytus melasę, produkowaną w cukrowniach nad Wisłą i kolejną warszawsko-bydgoską wysyłaną w wielkiej ilości Wisłą za granicę, z kądem przerobioną w postaci francuzkich wódek i likworów wraca na powrót do kraju. Fabryki te wywołałyby na naszych Kujawach, tak dotąd zacofanych w produkcji fabrycznej, co do kierunku gospodarstwa ogromny przewrót; niestety, jak donosi korespondent «Gaz. Warsz.», są dotąd tylko przedmiotem miłych marzeń naszych finansistów i rolników, i nim przejdą w sferę rzeczywistości, dużo wody jeszcze w naszej Wisle upłynie. Jedno tylko we wszystkich tych pogłoskach skonstatować można na pewno, że w urzeczywistnieniu tych projektów miejscowe siły finansowe jak najniższy biorą udział.

∞ **Z WILNA** piszą do nas: 12 stycznia miało miejsce posiedzenie dumy, poświęcone wyłącznie rozpatrzeniu budżetu m. Wilna na rok 1883. Utrzymanie policji będzie kosztowało miasto 46 tys. rs.; zandarmerya konna 1,300 rs.; straż ogniowa 21,500 rs.; dozór sanitarny 1,580 rs.; szkoły ludowe 5,500 rs.; teatr otrzyma subwencję w rozmiarze 3,000 r.; na cele dobroczynne miasto przeznaczą 1,395 rubli, z których 500 r. na podtrzymanie nowo-założonego schronienia nocnego; na rozkwaterowanie wojsk przeznaczono 59 i pół tys. rs.; na utrzymanie sądu miejskiego sierociego (sirotskyj) 1,350 rs.; na lokal dla izby sądowej 4,800 rs.; na wydatki nadzwyczajne jako też na druk protokółów z posiedzeń rady miejskiej asygnowano przeszło 2 tys. rs. W.

∞ **Z WILNA.** Hr. Gustaw Plater, organizator odbytego w Warszawie koncertu na dochód wdowy, pozostałej po nieodżałowanym twórcy «Halki», zamierza urządzić wkrótce także sam koncert w naszym mieście. Koncert warszawski przyniósł czystego dochodu 318 rs.

∞ **Z PŁUGIAN** (gub. kowieńska) piszą do nas o strasznej morderstwie, dokonanej na osobie bogatej właścianki ze wsi Łukniane. Znalaziono ofiarę straszliwie pokaleczoną na drodze z kościoła, dokąd pojechała sama. Są poszlaki, że zbrodniarzem jest syn tej kobiety, pragnący zawiązać mieniem rodziny i mieszający się na matkę za zmarłego ojca, który go kochał zawsze mniej od reszty rodzeństwa i pozbawił wyższego wykształcenia, które otrzymało tamto.

∞ **Z POLESIA WOŁYŃSKIEGO.** Od Nowego Roku żydzi, pisze korespondent «Wieku», chodzą u nas jak z krzyża zdjęci, gdyż nie wydawano im świadectw na szynkowanie wódką. Z tego powodu wiele szynków jest zamkniętych; w niektórych miejscowościach żydzi pobrali świadectwa na chłopów, którzy w swoich chatkach prowadzą wyszynk na korzyść żyda; w innych znów miejscowościach dziedzice powykupywali świadectwa i na rzecz własną szynkują. Jest jednak jeden fakt godzien uwagi. W miasteczku Kamień-Koszyrski dziedzic w swoim zabudowaniu zaprowadził szynk. Włóścianie zażądali od niego 400 rs. i oznaczyli niską cenę na wódkę. Dziedzic propozycji nie przyjął, włóścianie więc zebraли się i uradzili, aby żaden z miejscowych mieszkańców do szynku nie chodził pod karą 1 rs. Postawili wartość w szynku, która melduje starszym o każdym przekroczeniu.—W wielu miejscowościach objawiają się tu różne choroby, a w niektórych jest bardzo znaczna śmiertelność, np. we wsi Pniowno, powiecie pińskim, na 200 osad już 160 było pogrzbów w ciągu 6 tygodni. Ospa i dyfteryt są głównymi chorobami... Stagnacja trudna do opisania: za korzec żyta, wywiezionego na targ, dostaje się 2½ rs. a wywieziony kilkanaście korecy już nie ma kupca.—Zapewniano mnie, że w gub. wołyńskiej zawiązuje się Towarzystwo prywatne do asekuracji bydła od księgosuszu, a to na takiej zasadzie, że od bydła którego szacunek wynosić będzie rs. 1,000, asekurujący opłacać będzie rocznie rs. 30, co wypadnie trochę więcej jak po 1 rs. od sztuki. Jakaż to wielka różnica od Królestwa! Tam jest asekuracja rządowa przymusowa i składka prawie nic nieznaczająca (1 kop. od

sztuki), tu zaś Towarzystwo prywatne, które musi dbać i pamiętać o korzyściach swoich.

∞ **Z WŁODZIMIERZA WOŁYŃSKIEGO** piszą do «Gaz. Warsz.»: Miasteczko nasze, leżące o sześć mil od Kowla, stacyi dwóch dróg żelaznych, nietylko, że się nie rozwija, ale z każdym rokiem chyli do upadku. Niegdyś obronna stolica dzielnicy książęcej, następnie miasto główne województwa, Włodzimierz przechodził rozmaite koleje, i upadek jego rozpoczyna się na początku bieżącego, a nawet jeszcze na schyłku zeszłego stulecia. Według najnowszych obliczeń ludność miasteczka wynosi teraz 5,710 mieszkańców, a w tej liczbie 3,100 żydów. Tym sposobem wyliczono mniej niż połowę (684) żydów, mających jakies określone zajęcie, reszta 796 nieposiadająca nieruchomości, ani kapitałów, niepracująca przy warsztacie lub w sklepie, przecież z czegoś żyć musi, ale z czego? Znajac stosunki miejscowe, łatwo odgadnąć, w jaki sposób 796 żydów potrafi zapracować na wyżywienie siebie i swoich, zwykle bardzo licznych rodzin.

∞ **Z ODESSEY.** Odeskie towarzystwo prawnicze, dyskutując projekt ustawy kryminalnej, oświadczyło się za zniesieniem kary śmierci.

∞ **Z BESARABJI** piszą do «Tygodn. Ill.»: Polaków jest nas tu, w sławnej ziemi cecorskiej mnóstwo, szczególniej wieśniaków z dzielnicy krakowskiej, mówiących czystym językiem, o dźwięku nieco uosowym. Dostę także mamy szlachty-tulaczów, mieszczan i rzemieślników, używających języka rusińskiego. Zmysłu narodowego posiadają niewiele; za wpływem jednak inteligentniejszej jednostki, prenumerować zaczynają «Zorzę», «Biesiadę» i niektórzy «Tygodnik Ilustrowany». W okolicy jest również dużo polskich ofycjalistów wiejskich. Lekarze okoliczni są wszyscy polacy. Książd z Chocimia kilka razy na rok przyjeżdża do Siekierzan i miewa mszę świętą, w domu prywatnym niestety. Nawet na cmentarz osobay polacy tu się nie zdobyli, choć żydzi piękny mają kirkut.

∞ **Z BENDER.** Droga bendero-galacka, została ostatecznie wcieloną do dróg południowo-zachodnich, osobny jej zarząd zniesiony, b. dyrektor tej drogi inżynier Boczkowski został naznaczony głównym inżynierem przy przebudowywaniu tej drogi, p. Apostołu, dawny naczelnik ruchu drogi bend.-galac., został naczelnikiem oddziału dunajskiego, tak obecnie rzeczona droga nazywać się będzie. Bromirski, dawny naczelnik stan. Kiszyniew, sprawca małwersacji 45,000 rs. w Genewie schwytyany został i skazany przez sąd przysięgłych na pozbawienie praw i zesłanie na zamieszkanie do guberni permskiej na czas nieograniczony.

∞ **Z BAKU** piszą do «Mosk. Wied.», że śmierć Gambetty uczyniła tak silne wrażenie nad inteligencją ormiańską, przejętą głębokim szacunkiem dla byłego dyktatora Francji, że postarała się o pozwolenie gubernatora i otrzymała takowe na odprawienie nabożeństwa żałobnego. Dziennik miejscowy «Kaspj», którego wydawcą jest naczelnik kancelaryi gubernatora, umieścił na pierwszej stronie 142 N-ru i w bardzo szerokiej wódecie, następujące ogłoszenie: «Z powodu śmierci Leona Gambetty, odbędzie się nabożeństwo żałobne w soborze, dzisiaj o godzinie 3 po południu. Pragnący uczcić pamięć zmarłego, są proszeni o udanie się do soboru na oznaczoną godzinę.» Jednakże uroczystość żałobna na cześć Gambetty nie przyszła do skutku, pomimo zezwolenia gubernatora, gdyż arcybiskup tyfliski stanowczo odmówił swojego.

KRONIKA POWSZECHNA.

∞ **POLACY DYPLOMACI.** Z wykazu urzędowego ministerstwa spraw zagranicznych w Austrii widzimy, że w zawodzie dyplomatycznym następujący rodacy nasi zajmują wybitne posady: hr. K. Żaluski jest ambasadorem w Teheranie; hr. A. Goluchowski radcą ambasady w Paryżu, zastępującym obecnie ambasadora; hr. Wodziński radcą ambasady w Dreźnie; p. M. Gurowski konsulem w Monaco; w Ruszczyku konsulem jest p. Kwiatkowski; w Widdynlu p. K. Zagórski; w Prewesle p. Jaksa-Dembicki; w Tyberyadzie (w Syrii) p. J. Miklaszewicz; w Foltiesani (Romania) p. G. Udrycki; w Galaczu K. Bolesławski

konsulem generalnym i agentem przy europejskiej komisji dunajskiej; w Fokszanach E. Zagórski; w Belgradzie S. Wysocki i w Niszu S. Piliński, wicekonsul i kierownik agencji konsularnej. Charakterystycznym jest, że niemal wszyscy wymienieni polacy użyli się do służby dyplomatycznej na wschodzie, gdzie dziś Austrija ma najżywniejsze interesa do strzeżenia i z kądem grozi jej największe niebezpieczeństwo. Jakkolwiek zaś da się to wytłómaczyć pokrewieństwem plemiennym i językowym, jakie nas łączy ze słowiańską ludnością tamtejszą, niemniej jednak okoliczność ta dowodzi także, że obecny rząd austriacki używa rodaków naszych do misji, wymagających ludzi energicznych i godnych zaufania. We Francji także kilku polaków zajmuje dość poważne stanowiska w służbie dyplomatycznej: oprócz bowiem p. Sienkiewicza, byłego jenerałnego konsula w Egipcie, pozostającego obecnie w stanie rozporządzalności — p. Ordęga jest pełnomocnikiem Rzeczypospolitej przy cesarzu marokańskim, p. Kleczkowski wice-konsulem w Aleksandryi i p. Klobukowski naczelnikiem kancelaryi gubernatora Kochinchiny.

∞ **POMNIK SZOPENA.** Znany współpracownik «Figaro» Ignotus, zamieścił niedawno szczegóły o śmierci Szopena, poczerpnięte z opowiadań Klezyngera. Obecnie «Figaro» donosi: «Po wydrukowaniu ostatniego mojego artykułu pod tytułem: «Szopen i Klezynger», otrzymałem wiadomość, iż zorganizował się komitet, celem wzniesienia pomnika Szopenowi. Tworzy się również podkomisja francuzka dla przyjęcia w pomoc komitetowi.» (?)

∞ **PRZEKLADY.** Wyszyły z pod prasy w przekładzie rosyjskim pp. Lawrowa i Palmowa, niektóre utwory H. Sienkiewicza, pod tytułem: «Amerykanskije ocerki i razskazy». W prasie periodycznej przekłady rosyjskie są również na również na porządku dziennym. «Kijewlanin» tłómaczy drukującą się w «Kraju» «Bańkę mydlaną», «Nowosti» drobne utwory Prusa, «Zarja» P. T. Jeża i t. d.

∞ **GUSTAW DORÉ.** Śmierć robi opustoszenia we Francji nietylko w świecie politycznym. Po Gambecie i Chauzy przyszedł kolej na najslyniejszego francuzkiego ilustratora Gustawa Doré. Doré urodził się w Strasburgu 1833 r. i już od lat dziecięcych okazywał wielki talent i zamiłowanie do rysunków. Mając lat 15 wstąpił jako współpracownik do gazety «Journal pour rire» a ilustracje, wyszły z pod jego ółwka, odrazu obudziły podziw publiczności. W dalszem artystycznym życiu Doré ilustrował legendę «Żyda wiecznego tulacza», Balzaca «Contes drôlatiques» i t. d., a ilustracje te odznaczały się pięknością i nie mniej były cenione od drobnych, umieszczonych w «Journal pour rire». Zaletami jego rysunków było bogactwo pomysłów, wybitna charakterystyka postaci, umiejętne podpatrywanie najskrytszych tajemnic przyrody i nadzwyczajna łatwość przyniesienia ich na papier. Później Doré przerzucił się do ilustrowania poważniejszych dzieł jak Dantego «Piekle», «Czyściec» i «Raj», «Don Kichot» Cervantes'a, «Bajki» Lafontain'a i «Biblję», które zjedwały twórcy sławę europejską. Ostatniemi jego pracami były sceny z «Szalonego Orlando», «Ariosta» i «Noce obrazu londyńskie». W większych tych ilustracjach głównie zwraca uwagę umiejętne stosowanie światłocieniów. Choć prace Dorégo często nie odpowiadały ściśle treści, jednak zawsze były piękne, bogate w akcesorya i pełne fantazyjnych pomysłów, jak to widzimy w ilustracjach do «Piekle» Dantego. Doré nie chciał jednakże poprzestać na sławie, jaką zdobył sobie ółwkiem i próbował sił swoich w malarstwie i rzeźbie z mniejszym jednakże powodzeniem. Obrazom jego znawcy odmawiali poczucia kolorytu, a rzeźby wobec prac innych rzeźbiarzy zajmowały podrzędne stanowisko.

∞ **FRYDERYK FLOTOW,** zmarły 13 (25) stycznia, urodził się dnia 27-go kwietnia roku 1812-go w Meklemburgu, w majątności swej rodzinnej Rontendorfie. Przeważnie przez ojca dla dyplomatycznej kariery, porzucił ją wcześniej i udał się do Paryża, celem kształcenia się w ukochanej sztuce. Pierwszym występem młodego muzyka była opera: «Le naufrage de la Meduse», wystawiona w Paryżu kilkadziesiąt razy w latach 1839-ym i 1840-ym. Znane są tryumfy dwóch jego głośnych, i najprzedniejszych utworów «Stradelli» i «Marty»; szczególnie ta ostatnia opera pozostanie na zawsze nieodłączną od imienia Flotowa. W późniejszych czasach powstała liryczna i romantyczna opory, jak «L'ombre», wystawiona w Paryżu w r. 1869-ym, nie dorównała dwóm powyższym. Mianowany w roku 1856-ym intendentem teatru w Szwerynie, porzucił w roku 1863-im to stanowisko i wrócił do Paryża, gdzie też największą część życia swego spędził. Kilka lat temu dotknięty ślepotą, przeniósł się do siostry przebywającej w Darmstadtzie i tam zamknął powieki.

∞ **INTERVIEW U KSIĘŻNIEJ KRAPOTKIN.**

W czasie gdy proces anarchistów w Lugdunie, w którym ks. Krapotkin odgrywa najważniejszą rolę, budzi powszechną uwagę, jeden ze współpracowników paryżskiego «Figaro», wpadł na szczególny pomysł złożenia wizyty małżonce głównego anarchysty. Żona uwięzionego, ks. Krapotkin, mieszka obecnie w hotelu Lyonais, tam też udal się ciekawy reporter. Z portretu przesiętnego, nie można wywnioskować, aby księżna zbyt była ujmującej powierzchowności; nie mówi wprawdzie, że jest brzydka, wypływa to jednak z opisu. Księżna jest osobą blisko 30-letnią. W rysach jej widać pewne zmęczenie, noszą one zresztą więcej tatarski, niż słowiański charakter. Rysy ostre, niskie czoło, zwykłe bardzo usta, niespokojny wyraz twarzy i niewielkie przenikliwe oczy, nieco skośnie nawet osadzone, składają się na ten portret. Zarekomendowawszy się i będąc przyjętym, korespondent zapytał się: «Nieprawdaz księżno pani, małżonek pani jest przywódcą anarchistów?» — Księżna; «Między anarchistami nie ma żadnych przywódców, wszyscy są towarzyszami». — On: «Mimo to utrzymują, iż księżę trzymał w ręku wszystkie nici?» — Ona: «Jakież to mają dowody? Żadnych. Powiadają nawet, że mąż mój należał do internacyonalu, w żadnym jednak kraju europejskim internacyonal obecnie nie istnieje, z wyjątkiem Hiszpanji, w której resztki jego wiodą zresztą mizerny żywot». — On: «Co pani rozumie przez anarchję, we Francji łączy się często z nihilizmem». — Ona: «Nie ma żadnego związku między oboma ruchami. Anarchja znaczy stan społeczeństwa, w którym nie ma ani rządu, ani urzędników. Nic jednak burzyć nie chcemy». — On: «Tak, z wyjątkiem rządów i urzędów... Co myśli pani o powszechnem prawie wyborczem?» — «Zwykła komedia». — «Dla czego?» — «Ponieważ lud jest ciemny i ludziom zrezygnanym łatwo przychodzi go tumanić». — On: «Ależ dziś świat cały należy do ludu». — Ona: «O nie, do burżoazji, która tuczy się krwią i potem robotnika. To są tygrysy. Czyż nie przypawili o śmierć mego brata, gdy wtargnęli do pokoju, gdzie leżał niebezpiecznie chory! O to są nędzniecy!» Wypowiadając te słowa, interlokutorka inny zupełnie przybrała wyraz twarzy, oczy jej ciskały iskry, ręce ścisnęły się kurczowo, zerwała się z miejsca... Korespondent ulecił się wtedy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Od dnia śmierci Gambetty, czyli od miesiąca, życie polityczne we Francji biją przyspieszonym tętnem; krew się burzy, namiętności scierają wzajemnie. Ubiegły tydzień rozpoczął się oddawna przewidzianem i niunikionem przesileniem ministeryalnem, niunikionem dla tego, że nietylko w większości republikańskiej Izby, ale nawet w łonie samego gabinetu Duclerc'a okazało się bardzo wyraźne rozdwojenie w sprawie, jak na dziś, najbardziej palącej: projektu do prawa o prezydentach. Kronika tego burzliwego tygodnia jest tak ciekawa, że zasługuje na opowieszczenie w chronologicznym porządku.

Dnia 28 stycznia podał się gabinet Duclerc'a do dymisji, którą przyjął prezydent republiki. Gabinet ustąpił z pola, zanim zawrzała właściwa walka i zanim parlament rozstrzygnął o losie rządowych ustaw dyskrecyjnych przeciw pretendentom. Jak wiadomo, stawił deputowany Fabre wniosek pośredniczący w celu usunięcia różnicy zdań, jakie powstały pomiędzy komisją parlamentarną a gabinetem z powodu projektów rządowych. Jedną część członków gabinetu oświadczyła się za wnioskiem deput. Fabre, na który też zgodziła się większość komisji. Prezes ministerstwa, minister wojny Billot i minister marynarki Jauréguiberry wystąpili jako przeciwnicy wniosku Fabra. Wniosek komisji przyszedł tedy do obrady Izby, ale i tu nie powzięto nad nim uchwały; głosowano jedynie, czy należy w ogóle nad nim dyskutować, czy nie, i kiedy Izba bardzo znaczną większością odrzuciła wniosek bonapartyzty Bourgeois, to jest uchwalila dyskuse, gabinet Duclerc'a uważał za niepotrzebne czekać na ostatnią decyzję i podał się do dymisji, pozostawiając swemu następcy fatalne dziedzictwo. Po przyjęciu dymisji gabinetu Duclerc'a, prezydent rzeczypospolitej powierzył utworzenie nowego ministerstwa Juluszowi Ferry, a gdy ten odmówił — ministrowi spraw wewnętrznych Fallierowi. Gabinet Falliera dotychczas nie jest jeszcze ukonstytuowany, głównie z powodu choroby samego Falliera. Dotąd wakuja

w nim teki ministra spraw zagranicznych i marynarki. Wydział wojny w ostatniej chwili zgodził się objąć generał Thibaudin.

Równoległe z rozwijającym się procesem przesilenia ministeryalnem, toczyły się, wzięły i rozpały obrady w Izbie deputowanych. Zuchwałość księcia Napoleona, zamierzającego w biały dzień, na ulicach Paryża, dokonać zamachu stanu przeciw Rzeczypospolitej, wieści o gotującym się spisku legitymistów i o zycyliwej obojętności, z jaką wieści te przyjęli będący w służbie wojennej książęta orleańscy, postawiła na nogi wszystkie frakcje republikańskie. Z chwila, w której namiętności w grę weszły, o spokojnem wyjściu z położenia mowy być nie mogło. Stało się to, co w atmosfercy nazywa się przeladowaniem elektrycznością, nagromadzone żywioły wybuchowe potrzebowały «wyładowania», szukały ujścia... Ujść takich było kilka. Naprzód wniosek deputowanego Ballue, zadającego natychmiastowe wykreślenie książąt orleańskich z listy oficerów armji, wniosek rządowy (gabinetu Duclerc'a), domagający się dla rządu władzy dyskrecyjnalnej, celem ewentualnego wydalenia pretendentów z granic Francji, wniosek dep. Floqueta, proponujący stanowczą banicyę, i wniosek dep. Fabra, który był wynikiem kompromisu pomiędzy nowym gabinetem (Falliera) i komisją parlamentarną izby. Ten ostatni wniosek (treść w «Ost. Wiad.»), jak donoszą dzisiejsze, sobotnie depeze, został przyjęty ogromną większością (352:172) przez izbę deputowanych. Do ostatecznej sankcyi i wprowadzenia w życie nowego projektu, potrzebną jest jeszcze, jak wiadomo, uchwała senatu, przypuszczając jednak można, że republikańska większość senatu na projekt się zgodzi, mimo niechęci, żeby nie doprowadzać do niunikionego w takim razie rozwiązania izby, co by w obecnem położeniu było rzeczą zbyt ryzykowną. Czy postawili Rzeczypospolitej francuzkiej dobrze zrobili, chwytając się przeciw książętom orleańskim środków ostracyzmu, przyszłość pokaze, to pewna tylko, że uchwała izby wyprowadziła znowu pretendentów z cieniu na pierwszy plan i postawiła ich urzędowo niejako w szeregach jawnej opozycyi.

Minister spraw zagranicznych p. Giers, po paromiesięcznym pobycie zagranicą, powrócił w dniu wczorajszym do Petersburga. Do podróży rosyjskiego ministra, a szczególniej do jego pobytu w Wiedniu, prasa europejska wielką przywiązywała wagę. Przyjęcie w Wiedniu odznaczało się wyjątkowemi oznakami sympatyj: arcyksiężęta dawali dlań festyny, wizyty nie ograniczały się na formalności etykietałnej, ale zamieniały się w długie pogadanki. Ani hr. Szuwałow, ani nawet ks. Bismark nie doznawali tak uprzedzających oznak. O treści prowadzonych układów, naturalnie, można się tylko domyslać. Z obowiązku wszakże sprawozdawczego musimy zanotować, że największą sensacyę zrobiły zagranicą «Enthüllungen» wiedeńskiego organu «Neue freie Presse»:

Gdy bar. Haymerle obejmował miejsce hr. Andrassego, pisze główny organ centralistów, stało się to na podstawie istniejącego już programu. Do polityki poprzednika przyniósł bar. Haymerle pociąg do zbliżenia z Włochami, skutkiem czego stała się też podróż króla Humberta do Wiednia. P. Kalnokowy znów ze swojej misji w Petersburgu przywiózł z sobą wyraźne sympatyje rosyjskie. Myśl zbliżenia była niemożliwą, dopóki ster dzierzył hr. Ignatjew. Gdy Ignatjewa zastąpił znany z umiarkowanych poglądów p. Giers, ambasador austriacki w Rosji hr. Wolkenstein przygotowywał grunt tego zbliżenia, a podróz p. Giersa jest owocem tych zachodów. Hr. Kalnokowy dłuższe i częstsze miał narady z p. Giersem, niż o tem donosiły dzienniki. Ich przedmiotem miały być warunki zbliżenia, odnosnie do kwestyi wschodniej. P. Giers kładł nacisk na sprawę ujść Dunaju, obiecując poparcie żeglugi austriackiej naciskiem na rząd rumuński. Co do wschodniej Rumelji i Bułgaryi, mniemają, że Austria stawiać nie będzie oporu ewentualnemu połączeniu tych krajów. Umawiano się co do chwilowego wstrzymania wszelkich za-

burzeń na półwyspie bałkańskim i nieprzyjaznych prądów przeciw Austrii w Serbji i Czarnogórze, a przynajmniej zupełnie neutralnego stanowiska wobec nich Rosji. W Konstantynopolu Rosya ma popierać interesu Austrii w sprawach kolejowych. Zgoda, miano się umawiać o rodzaj zawieszenia broni między dwoma mocarstwami na półwyspie bałkańskim, a oraz porozumiewano się co do bieżących kwestyj europejskich...

Dzienniki centralistyczne zapewniają, że zbliżenie się Austrii do Rosji jest na ręce Niemcom. Z postawy niezawisłych dzienników niemieckich trudno o tem sądzić.

W Austrii dzieją się rzeczy dość dziwne. Rząd hr. Taaffe dla przeprowadzenia swych celów, zaczyna uciekać się do środków, datujących się z najlepszych czasów reakcyi. W tych dniach odjęto sprzeżacz uliczną dwóm gazetom wiedeńskim: «Neues Wiener Tagblatt» (najbardziej w Austrii rozpowszechnionej) i «Vorstadt-Zeitung». W ciągu ostatnich dwóch tygodni wydano z Krakowa i z granic Austrii bez przyczyn i motywów znanego pisarza Tokarzewskiego (Hodi) i dwóch słuchaczów medycyny, Jarona i Zawadzkiego.

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

Sofja, 27 stycznia. Minister spraw zagranicznych. Vulkowicz pod naciskiem pp. Sobolewa i Kaulbarsa musiał ustąpić. Nowy gabinet został utworzony pod przewodnictwem generała rosyjskiego Sobolewa. Tenże zatrzymał i nadal sprawy wewnętrzne. Tekę spraw zagranicznych otrzymał Stoilow, wojny jen. Kaulbars. sprawiedliwości Grotków, skarbu Natczewicz, oświaty Teokarów.

Budapeszt, 27 stycznia. Generał Klappa ogłosił list otwarty, w którym przypomina patriotyczny udział żydów węgierskich w walkach r. 1848 i wzywa ludność do zaniechania wrogich przeciw nim agitacyj.

Berlin, 27 stycznia. Dzisiejsza «Nord. Allg. Ztg.», zamieszcza dosłowny tekst listu cesarza Wilhelma do ojca św. List powiada, że skoro rząd spotka się u duchowieństwa w pojednawczem usposobieniu, zostaną sejmowi pruskiemu przedłożone wnioski rewizyj ustawy majowych.

Paryż, 28 stycznia. Duclerc odmówił zgody na kompromis zawarty przez ministrów z komisją, poczem ministrowie ofiarowali swą dymisję, która dotąd nie została przyjęta.

Paryż, 28 stycznia. Prezydent Grévy przyjął dymisję całego gabinetu.

Paryż, 28 stycznia. Rząd przyjął wniosek pośredniczący Fabre'a, który opiewa tak samo, jak rządowy, a dodaje tylko zakaz piastowania przez członków byłych rodzin królewskich, cywilnych, wojskowych i z wyboru wyszłych urzędów. Minister marynarki Jauréguiberry wskutek tej uchwały złożył swą dymisję. Jen. Billot tymczasowo pozostaje, aby nie wywołać przesilenia ministeryalnem. Zdanie Duclerca jest dotąd niewiadome, ponieważ tenże jest chory i nikogo nie przyjmuje. Komisya zgromadziła się wczoraj na wiadomość o uchwale rządu i przyjęła 6 głosami przeciw 5 wniosek Fabre'a. Deputowany Ballue przeszedł na stronę kompromisu. Sprawozdawca Marcon złożył wskutek tego referat, a objął takowy Fabre.

Paryż, 28 stycznia. Na wczorajszym posiedzeniu izby deputowanych panowało niezmiernie rozdrażnienie. Wśród wrzawy Fabre odczytał sprawozdanie komisji. Takowe opiewa: Wypadek, który wydarzył się w dniach ostatnich, dał powód izbie i rządowi do rozpatrzenia się w wyjątkowem stanowisku, jakie rodziny dawniej królewskie zajmują we Francji. Wniosek deputowanego Floqueta rząd uznał za posuwający się zbyt daleko. Komisya pomimo tego przyjęła ten wniosek. Oświadczenia wszelako, jakie dzisiaj rząd złożył w komisji (ogromna wrzawa), pozwoliły jej odstąpić od uchwał pierwotnych i przedłożył wysokiej izbie następujący projekt do prawa: Art. 1. Członkowie rodzin, które panowały dawniej we Francji, nie mogą piastować urzędu wojskowego, ani cywilnego, ani też przyjąć takowego z wyboru (hałas i uragania z ław prawicy). Art. 2. Dekret prezydenta rzeczypospolitej do rady ministeryalnej może każdego członka tychże rodzin, którego obecność w kraju mogłaby narazić bezpieczeństwo tegoż, wydrzeć po za terytorya rzeczypospolitej. Art. 3. Wypędzony, gdyby bez pozwolenia wrócił do Francji, postawiony będzie przed sądem policyi poprawczej (wrzawy na prawicy; głosy: Niech żyje wolność!) i karany więzieniem od roku do lat pięciu, następnie zaś ponownie wydany. Bonapartysta Bourgeois woła: Nie pojnowałem nigdy praw wyjątkowych! (Iro-

niezno okrzyki po lewicy). Gdyby Rzeczpospolita czuła się silną, nie uciekałaby się do kroków przemocy! Cuneo d'Ornano: Jesteśmy wszyscy sługami narodu. Takim wnioskiem gwałcicie powszechne głosowanie. Nie mówię o przeszłości... (głosy ironiczne: wiemy dlaczego!). To, co wy tu robicie, jest skandalem! (protesty). Rozprawy naznaczone na poniedziałek. Madier de Montjau będzie imieniem mniejszości komisji bronił wniosku Floqueta.

Paryż, 28 stycznia. Kompromis pomiędzy iządem i komisją zawarty został na podstawie następującej: książęta tracą prawa polityczne i godności wojskowe; rząd ma prawo, ale nie ma obowiązku wydalać ich z europejskich i zamorskich terytoriów Francji w razie potrzeby.

Paryż, 29 stycznia. Ferry odmówił utworzenia gabinetu. Wskutek tego Grévy zawiązał ministrowi spraw wewnętrznych Fallières do złożenia takiego. Tenże oświadczył, że wszyscy ministrowie, z wyjątkiem Duclerca, Billo'a i Jauréguiberry, zatrzymają swe teki. Fallières objął przewodnictwo rządu, Tirard i Mahy tymczasowo przyjmują teki spraw zagranicznych i marynarki. Ministrem wojny mianowany Thibaudin. Rada ministrów zebrała się dzisiaj zrana.

Wiedeń, 29 stycznia. Dzisiaj klub polski odbywa posiedzenie w sprawie noweli szkolnej, ponieważ panuje różnica zdań pomiędzy nim a innymi klubami prawicy. Deputowani galicyjscy nie przyjmują artykułu orzekającego, że nauczyciel szkoły elementarnej powinien być tego samego wyznania religijnego, co uczniowie (w takim razie bowiem w Galicji wschodniej prawie wszyscy nauczyciele szkół ludowych musieliby wyznawać religię grecko-katolicką).

Paryż, 29 stycznia. Fallières mianowany został prezesem gabinetu i prowizorycznie ministrem spraw zagranicznych. Ministrowie wojny i marynarki zostaną mianowani niezwłocznie; inni pozostają na stanowiskach.

Paryż, 30 stycznia. Wczoraj, wśród ogólnego napięcia ciekawości, rozpoczęła izba deputowanych rozprawę nad wnioskami komisji dla sprawy pretendentów. Przed pałacem burbońskim krąży tłumy publiczności; galerye przepelnione, podobnież loża dyplomatów. Na ławie ministrów zasiada p. Fallières i reszta członków gabinetu, oprócz Duclerca, jen. Billo'a i wice-admirała Jauréguiberry, którzy ustąpili. Prawica protestuje wobec wrzawy, panującej w izbie, przeciw rozpoczynaniu obrad wobec gabinetu, któremu brakuje głowy. Fabre przemawia imieniem większości, Viette imieniem mniejszości komisji, Pretendenci do tronu stoją zawsze albo nad prawem, albo poniżej tegoż; nigdzie nie używają pełnej swobody obywatelskiej. Rozum stanu domaga się wykreślenia ich z armji. Ribot przemawia w sposób umiarkowany; nagania trwożliwość izby i wycofanie się rządu, Floquet mówi gwałtownie. Nie pora na słabość i przebaczenie; nie proponujemy nowych środków ostrożności; żądamy tylko wznowienia dawnych ustaw prewencyjnych. Dzisiaj dalszy ciąg obrad.

Paryż, 31 stycznia. Fallières, broniąc wniosku rządowego w izbie, zachorował. Wskutek tego rozprawy musiały być odroczone do jutra. Fallières popadł w synkopę z powodu nadmiaru pracy w ostatnich dniach. Sądzą wszakże, iż będzie mógł uczestniczyć w jutrzejszych obradach. Jeneral Camponon przyjął tekę ministra wojny.

Paryż, 31 stycznia. Wczoraj izba deputowanych prowadziła dalej obrady nad wnioskami o pretendentach. Leon Renault mówi przeciw wnioskowi Floquet'a i Fabre'a. Pierwszy jest zamachem, drugi prześladowaniem. Przesz ministrowi Fallières w obszerniej mowie wyjaśnia stanowisko rządu. Książęta orleaniści nie byli obecni przy intrygu i wicherzom, wymierzonym przeciw bezpieczeństwu Rzeczypospolitej. Usiłowano wywołać powstanie, ale lud odmówił posłuszeństwa zdradzieckim podszeptom. W toku mowy Fallières nagle zbladł, porwał się za głowę i zawołał: Umieram! Nastąpiła krótka pauza. Minister zachwiał się na nogach i zemknął. Wypadek przypisują bezsensnemu spędzeniu trzech nocy. Rozprawy odroczone do czwartku.

Wiedeń, 30 stycznia. Dzisiejszy półurzędowy „Fremdenblatt” w artykule poświęconym pobytowi p. Giersa w Wiedniu powiada, że nie chodziło o utworzenie nowych stosunków politycznych, ale o utwierdzenie istniejących, tudzież o wymianę zdań we wszystkich międzynarodowych kwestjach, które są na porządku dziennym. P. Giersa miał sposobność umocnienia się w przekonaniu, że polityka Austrii jest pokojową i opiera się niewzruszenie na podstawie przymierza austriacko-niemieckiego. Sprzyja ona wszystkim szczerze pokojowo usposobionym mocarstwom. P. Giersa wzmocił też przekonanie tutejszych kół rządowych, że Monarcha rosyjski pragnie utrzymać stosunki zaufania i przyjaźni z obydwojma mocarstwami sąsiednimi.

Paryż, 31 stycznia. W papierach zabranych u księcia Napoleona znaleziono listy Wiktora Emanuela, Humberta i księżnej Klotydy, których nieczytano, książę oświadczył bowiem, że zezwoli na ich odczytanie tylko w obecności ambasadora włoskiego. Znaleziono także listy pisane do księcia przez wpływowych republikanów. Sędzia śledczy wpisał tylko nazwiska autorów do protokołu, nie czytając listów. Śledztwo wstępne ukończone będzie w przyszłym tygodniu. Sąd policyjny poprawczy skazał na 400 fr. kary, drukarza, który wydrukował manifest księcia Napoleona.

Paryż, 1 lutego. Były prefekt policyi, Adrieux, rozwija poprawkę, którą proponuje zamienić paragraf 1 projektu praw, paragrafem z deklaracji „praw człowieka”, głoszącym, że wszyscy obywatele są równi w obliczu prawa, mają jednakowe prawo do wszystkich rang i posad, wedle zdolności każdego i bez innych wyróżnień, jak talenta osobiste i cnoty obywatela. Po cofnięciu poprawki tej przez Andrieux, bonapartysta Cuneo d'Ornano wnosi ją znów. Poprawka zostaje odrzuconą większością 351 głosu przeciwko 100. Pierwszy paragraf wniosku Floquet'a, odrzucono większością 352 głosów. Kontr-projekt Ballue, proponujący wykreślenie książąt ze spięku wojskowego zostaje odrzucony większością 377 głosów przeciwko 129. Poprawkę Cassagnac'a odrzucono. Trzy paragrafy rządowego projektu, które upoważniają rząd wysłać pretendentów w razie potrzeby i które uznają książąt za niezdolnych prawnie do zajmowania urzędów z wyboru, a również na służbie wojennej i cywilnej, zostały przyjęte większością 373 głosów przeciwko 163. Posiedzenie zamknięte. Izba odroczyła następne posiedzenie do przyszłego czwartku.

KRONIKA HANDLOWA.

Najnowsza kombinacja *haute finance* paryskiej, emisja 300 milj. franków 3% obligacji *Crédit foncier*, doznała nadprzewidzianego powodzenia. Suma ta dwa razy prawie podpisana została, dzięki, z jednej strony, niskiemu kursowi podpisowemu (330 franków za 500 fr.), czemu przyczyną było obniżenie się w cenie poprzednich emisji, z drugiej zaś, zdrowemu zmysłowi publiczności francuskiej, nauczanej doświadczeniem zeszłorocznym, i szukającej obecnie pewnego papieru dla lokowania swych oszczędności. Pomyślny ten rezultat, w połączeniu z przychylnym zapatrywaniem się świata finansowego na przyjęcie p. Giersa w Wiedniu, przyczyniły się do ożywienia interesów. Wielka obfitość gotówki dopomogła utrzymać się zwykłej tendencji, która zapanowała w ubiegłym tygodniu na giełdach tak zagranicznych, jak i krajowych. Prądowi temu uległy i nasze papiery publiczne, waluta zaś tylko chwilowo, z powodu zapotrzebowania ruskich pieniędzy papierowych na rynku berlińskim. Popyt na ruble wywołany został regulacją miesięczną. Zwyczaj trwał krótko i po ukończeniu likwidacji styczniowych, na których większa część zobowiązań w naszej walucie została odroczone na dalsze czasy, wrócono do dawniejszych notowań. Wprawdzie tendencya giełdy berlińskiej w końcu tygodnia była dla naszej waluty przychylniejszą, lecz pomimo to nie korzystano u nas z tej zwyczajki, dzięki jednej instytucji finansowej, która będąc silnie zaangażowaną *à la baisse* do współpracy z jednym bankierem berlińskim, nie dopuszczała wyższego notowania.

Pod wpływem korzystnych taksacji, nadeszłych w poniedziałek z Berlina, kurs nasz doszedł do 23²²/₁₀₀. Cena ta nie utrzymała się we wtorek z powodu zbyt znacznego zapotrzebowania weksli na zagranicę. Zwiększony ten popyt był w związku z dokonaną transakcją *à la baisse* w Berlinie w naszej walucie, skutkiem czego sprzedający oddawali weksle na Londyn po 23¹¹/₁₀₀, a w końcu giełdy nowet po 23⁸/₁₀₀ (pensów za 1 rs. na 3 miesiące). We czwartek kurs nasz zyskał ¹/₁₀₀ pensa i można było nabyć weksle na Londyn po 23¹¹/₁₀₀. Pomimo korzystniejszych taksacji nadeszłych w piątek z Berlina (200³/₁₀₀ marek za 100 rs. z dostawą w końcu lutego) spekulanci tutejsi *à la baisse* nie dopuścili poprawienia się kursu i notowaniem 23²¹/₁₀₀ zakończył się upłyniony tydzień.

Zlecenia kupna naszych papierów publicznych, nadeszłe z zagranicy, dowodzą, iż publiczność tamieczna wraca do dawnego zaufania, jakim kredyt rosyjski przed nieporządkami anti-żydowskimi obdarzała. Popyt z zagranicy w połączeniu z tymże naszej publicznością, uchwalił zwyczaj rozpoczęta w początku r. b. Prawie wszystkie papiery zyskały w cenie. I tak, obligacje tutejsze miesiąc awansowały do 86¹/₁₀₀, wchodnia pożyczka, bilety 100-rublowe, których brak daje się czuć, doszły do 91, 1000-rublowe do 90³/₁₀₀, obligacje kredytowe ziemskie do 130³/₁₀₀. Interes z pożyczkami premjowymi był w końcu tygodnia trochę zaniedbanym, lecz pomimo to cena pierw-

szych utrzymała się przy 218³/₁₀₀, drugich przy 216¹/₁₀₀. Pomiędzy obligacjami ziemskich banków największym popytem cieszyły się Moskiewskie 43-letnie po 95³/₁₀₀ do 96. Saratowo-simbirskie były ofiarowywane długoletnie po 82¹/₁₀₀, krótkie po 84. Z akcyj bankowych saratowo-simbirskie podskoczyły do 41, lecz z równą prędkością obniżyły się do 38 i po tej cenie można było je nabyć. Centralne zyskały 3¹/₁₀₀ rs. do 49¹/₁₀₀. Akcje banku ruskiego były skupowane przez stałego swego nabywcę i doszły do 264.

Akcje Głównego towarzystwa kolei żelaznych obniżywszy się w początku tygodnia do 255¹/₁₀₀, lecz wskutek nadeszłych zleceń z zagranicy wróciły do danej swej ceny 257¹/₁₀₀. Rybińskie były nabwane dla Moskwy po 59¹/₁₀₀. Carycyńskie po 87¹/₁₀₀. Południowo-zachodnie małe sztuki po 96¹/₁₀₀, duże po 95³/₁₀₀. Największym popytem cieszyły się akcje pierwszego Tow. ubezpieczenia od ognia i żegluga po czarnym morzu. Pierwszy ten papier, dzięki zmniejszeniu się pożarów i wykazaniu iż straty poniesione w roku zeszłym nie są w stosunku do obniżenia się jego ceny, był poszukiwany po 700 rs., lecz i po tej cenie zapotrzebowania nie były pokryte.

Drugi zaś podskoczył do 768 w skutek nadeszłych wiadomości, i część obstalowanych okrętów jest już wykończoną i gotową do odplynięcia do Chin i Japonji. Powiększenie floty rekuje i powiększenie dochodów Towarzystwa. Z tej to głównie przyczyny powiększył się popyt na te akcje. Pieniądz był w zeszłym tygodniu bardzo swobodnym i ze wszech stron ofiarowano go pod dyskonta po 5³/₁₀₀, pod papiery po 6¹/₁₀₀. Złoto 5 rs. 35 kop., wartość rubla metalicznego 61,6 kop.

Uspokobienie rynku zbożowego nie odznaczało się ożywieniem. Większych transakcyj wcale nie dokonano. Za pszenicę saksonkę płacono po 13 rs. % z dostawą w lipcu. Za żyto z dostawą do Rewlu w marcu po 8 rs. 65 kop. (za 9 pudów). Za owoś staroruski z dostawą w maju po 4 rs. 80 kop.

Z cukrem również małe były obroty. Za mączkę płacili detalisci po 7 rs. 80 kop. za pud, spekulanci zaś jeden drugiemu po 7 rs. 75 kop. z dostawą w lecie. Ceny zaprzęszło tygodniowe nie utrzymały się w ubiegłym tygodniu z powodu niekorzystnych wiadomości, nadeszłych z rynków cukrowych moskiewskiego i kijowskiego. Rafinada po 8 rs. 60 kop.

A. Rp.

ZŁOŻONO W NASZEJ REDAKCYI.

Na pomnik Mickiewicza.

Wanicki rs. 1. kilku polaków, kształcących się w lisińskiej szkole leśnej rs. 14. Sartorius rs. 1, Michalina Dobronoki rs. 5, Aleks. Kosacki rs. 1. —

Na rodzimę Miarki.

Paulina Michalina Strzelecka rs. 1, niewiadomy rs. 5 k. 50, Jałowicka rs. 1, Horwatt Bożyczko rs. 1, W. S. z Rygi rs. 5, Dyonizy Tłochowski rs. 10, J. Bożyczko rs. 3, S. z Łęgalska rs. 9, Tytus Karnicki rs. 5, Tomasz Niekraszewicz rs. 3, Adam Łaniewski rs. 20, Roman Popławski rs. 15, Szczawiński rs. 4, Prokuszyna z Hruszowa rs. 27, Wanicki rs. 1, Dr. Mieczysław Bohomolec rs. 3, z Penzy rs. 8, Bronisław rs. 5, L. P. rs. 2, A. Pis. rs. 3, Mal. rs. 2, Stach k. 40, S. S. rs. 1, A. F. rs. 1, XX. rs. 2, H. B. rs. 1, K. S. rs. 1, A. B. rs. 1, M. W. k. 50, A. Przedziecki rs. 1, N. k. 50, L. B. rs. 1, W. B. rs. 1, W. A. rs. 1, A. R. rs. 1, NN. rs. 1, X. G. rs. 1, D. M. rs. 1, A. S. k. 60, S. S. k. 40.

Na kościół w Ekaterynburgu.

Henryk Wasilewski rs. 3. Landsberg rs. 2, od kompanji rs. 1 k. 35.

Na pogorzalców miasta Białej.

Henryk Wasilewski rs. 3.

Na Serbów tużychkich.

Henryk Wasilewski rs. 3, Wanicki rs. 1.

Repertuar Teatru Polskiego

od 25 do 30 stycznia.

(Teatr Koneonowa. Mojka, róg Kirpiecznego pierzeńka).

Wtorek, 25 stycznia. — Benefis Władysława Szymanowskiego: *Fastryżowe blaski*, kom. w 3 aktach przez Z. Mellerowā. — *Pieszczoszek*, kom. w 3 aktach przez pp. Najac'a i Hennequin'a. — *Jegomość w czarnym fraku*, monolog, wypowie p. Szymanowski.

Czwartek, 27 stycznia. — *Grochowy Wieniec*, kom. kontuszwowa w 4 aktach przez A. Małeckiego (z udziałem p. Barbary Zapolskiej i p. B. Leszczyńskiego).

Sobota, 29 stycznia, *Karpaccy Górale*, dramat ze śpiewami i tańcami góralskimi, w 8-ju odactwach, przez J. Korzeniowskiego.

Niedziela, 30 stycznia, przedstawienia nie będzie.

Początek o godzinie 8-ej.

KURYER LITERACKI.

BUTY MICHAŁKA

(Nowella Konkursowa «Kur. Codz».)

przez

F. Kripiakowicza.

Popod sztachetami, które okalały folwark Ciepłowiaków, skradał się niesmiało do wrót od dziedzińca żebrak jakiś, wspierając się na swej kulie. Zdjąwszy z głowy słomiany kapelusz z wielkimi, jak kanie skrzydła, kresami, mruczał on pacierz, podnosząc i zniżając głos o kwintę: «Bohorodyco, Diwo... obradowannaja Maryjo, Hospid z Toboju». Młody był to jeszcze chłopczysko: zaledwie mezek czarny pod nosem. Twarz jego nalwina i niesmiało spuszczone oczy kazaly przypuszczać, że nie jego to rzemiosło.

Michałko był rusinem. Urodził się on we wschodniej Galicyi, a niedza i niedola wygnały go aż tu, na mazury, wraz z «tatuniem», który niedawno właśnie umarł w Kazimierzu, z litości pochowany przez dobrych ludzi.

Otworzywszy niesmiało, ze strachem prawie, wrota od dziedzińca, zostawił je otworem i posunął swym kulawym krokiem przez dziedzińiec wprost do oficyn, leżących na lewo od spalonego palacu, którego mury z bastyonem dumnie piętrzyły się na czele rozkosznego parku. Michałko nie obchodziła ani piękna struktura palacu, ani park angielski, ani cudna okolica, rozciągająca się przed jego oczami. Pochyliwszy kark, wsunął on głowę do sionki, prowadzącej do kuchni i mruczał dalej: «Daj, Mateńko boża pereżytońki, doczekatońki». Lecz w oficynach jakby żywej duszy nie było, tylko na dziedzińcu kwokaly kury i chodził napuszony indyk.

Było już południe. Już parobcy wracali na koniach z pola i właśnie wjeżdżali przez wrota w dziedzińiec. Jeden z nich, mając widocznie jakiś interes do kuchni, zeskoczył z konia i dażył ku oficynom. Uderzyła go niezwykła fizyonomia i niezwyklesza jeszcze mowa Michałka. Stał, a podparłszy się w bok, zmierzzył go oczami od stóp do głów.

- «Zkad ty, kulasio?»
- «Wo zdaleka, sorok piat myl bude...»
- «Co, co? jak gadas?»

Michałko zakłopotany zaezał się drapać w czupryne.

— «Chtiwem skazaty» — rzekł szybko: — «chtiwem skazaty, szo sorok piat myl bude, ale ja dobre, po waszemu ne wmlju...»

— «Wej, jak cion swiergoce, nby wróble chłopcy, chodza het a żywo... a to ci dziwolagamamy!...»

Na to wezwanie był cały rój parobczaków oteczył Michałka. Posypaly się liczne pytania.

- Zkades rodem? Z Pacanowa? he? z Węgiel?
- Co mas w torbie?
- «A jaka twoja wiara? — zapytał kłopy Jedrek z oczami na wierzchu: umis się przeniegać?»

— «A ja!... wumim!» Michałko zamachnął ręką: Woiwia otea i Saina i switolo Duchaa...»

— «A nu—no, ci gnwiua bestya» — rzekł kędzierzawy Staszek, drażniac go biczyskiem. — «a no sprobajwa: tsss! tsss!...»

Michałko zacisnął pięście, zaslonił twarz rękawem.

- «A—o zła gadzina, aż mu się pieni z pyska! Zaczeto go skubać za odzież, targać za włosy»
- «Mamuniu ridna!...» — wolał żałośnym głosem Michałko.

— «Nie przekomarżaj się, dyć to człowiek» — kzyknał jeden z chłopaków.

— Bywaj! Bywaj! draby, galgany!... — ozwalała się zdala litanja ekonomska.

Chłopaki co tehu do koni, i pojechali w swoja stronę.

Ostatnim jechał Staszek. Już skrył się w alei parku, a jeszcze slychać było głos jego: «Brytan, weź-go! Burek, weź-go! luzia dziada!» Z za krzaków ozwało się szczekanie i w teże chwili od strony sadu wypadaja cztery psy. Na przodzie brytan basowym głosem, a za nim trzy kundysy jak piszczałki ujadraja i wprost pedza na Michałka.

— «A pódziesz, a pódziesz...» ozwał się głos z kuchni, i z miotłą w ruku wybiegła smukła jasnowłosa Weronka na obronę dziada.

— «Pochwalonyj» — rzekł dziadowym głosem Michałko, skloniwszy się kornie, — i tak się zagapil na Weronkę, że nie czuł jak słomiany «kapelusz» wypadł mu z rąk na ziemie i poszedł w kałki na kundysich zębach. Brytan tymczasem z tyłu zreczenie dokonal operacyj na torbie plóciennej. Nie mogąc obronić Michałka, litościwa Weronka wleagnała go do sieni, zatrzasnawszy drzwi za sobą.

— «A to gady, a to potępiency, a bodaj was pioruny» — kłęta Weronka, — żeby malufko, byłyby was zajadły na scęty».

Otworzyła drzwi do kuchni, zkąd odzywało się gđkanie kokoszek i zalatywał zapach świeżo pieczonego chleba. Michałko wszedł do izby drugi raz mówiac «pochwalony». Dziewczyna zakrzyknęła się po izbie i nalawszy w wielką misę żuru postawiła ją przed Michałkiem, polecając mu, aby się spieszył, bo «wnet» — ci babusia i chłopacy nadejdą». Jakkóż zanim misę wypróznil do połowy, otwarły się drzwi i weszła z saganem kartofli baba czarna jak cyganka z buremi latającymi oczami. Była to owa «babusia», trajkotliwa jak wazytkie mazurki, Józefowa.

— «Ści to durna dziewczyna» — były jej pierwsze słowa — a gdzieżbym takiemu młodemu dziadowi jeść dawała, a nlech próżniok na zarobek idzie — uj ty, cielciu!»

— Dyć to dworakle — usprawiedliwiała się Weronka — na tem nie zbankretuje, a cłecyko bylo glodne klej chart.

— Zaroz mi się wynoś, darmożodzie — krzyknęła baba — wynoś mi się zaroz!

Michałko zrobił płacziwą minę.

— Nie bójta się — mrugnęła Weronka — nie takie one zle.

— Matlu — rzekła do Józefowej — dziadus kulawy, jakby i was Grzesko.

— Kulawyyj — zawtórował Michałko — nimam wojca, nimam matki, dodom niewim drogi... — Józefowej serce zmiękło.

— A—a kulawy, katika... o—o chudzina, nieborak, mój Boże, dyć i mój Grzesio tyz kulawy. Weronka daj-ta jesse pajdę chleba i sioniny zusecek.

Zjadłszy żur, Michałko zaczął pacierze i zabierał się do wyjścia.

— A to dzie, a to dzie? — spytała raptem baba, zastępując mu drogę... — Cekaj!

Spojrzała buremi oczami tak stanowczo, że Michałko stanął jak wryty. Weronka zachichotała w kącie.

— Cożeś to chciał daimo jeść, klej wszystkie ludzie w polu pracnja?... a do pielena! grzadke mas mi wplec.

Powiodła go między grędy.

— Ale, matusiu, katika! — wstawiała się Weronka.

— O, o, ze tam ma jedna radice krótsza... bagate! A żebys nie uciekl, dawaj parciankę!

— A-ż-by cie paa-ra nadena, a bodaj się znudzila... — błogosławił Michałko zgłębi bruzdy.

Tak zeszło do wieczora.

Oto mi to robotniczek — trajkotała Józefowa przy wieczery — oto az miło. Weronka, daj mu ta jesse spyrki do kapusty. Stasek, weź ta dziadusia na noc do siebie.

Staszek posłuszny — jak wszystko-zresztą, woli Józefowej, zabrał Michałka na noc do stajni.

— Już cały folwark spoczywał we śnie, gdy naraz halas jakiś pzebudził wszystkich. Złodziej, złodziej! wołano. Michałko złapał złodzieja w stajni. Nazajutrz co żyje mówilo o Michałku. Michałka przyjęto na służbę.

— Na S-ty Michal dostaniesz nowe buty — mówi rzadca — i gdyby nie to, Michałko za nie w świecie nie zostalby między mazurami w Ciepłowie. Bał się on mazurów jak ognia. Nieboszczyk tatunio mawiali zawsze, to nie takij jak czolowik, bo to nie czolowik tylko mazur». Michałko nawet slyzał był gdzieś, że «mazury kusjut», po kilku jednak dnjach pobytu w Ciepłowie przekonał się, że to wrecz nieprawda. Mazury nie kąsali — lecz za to bili potężnie. Michałko nieraz musiał rejterować to za piec, to pod tapczan Józefowej. Raz nawet zniecierpliwiony chciał wszystko porzucić i iść, gdzie oczy poniosa.

«Czort by tu wytrzymał z tyul mazurami — a, ty! na was wsich» splunął, i był już kolo furty, lecz na szczęście przeszła mu drogę Weronka z próżnemi konewkami — i Michałko pozostał.

Powoli, powoli jednak, Michałko oswoił się z Ciepłowem. Nie bał się już mazurów, choć ich nie lubił, nie pochyłał już karku jak pierwej, już był rozumniejszy, weselszym i schludniejszym w ubraniu. Już nawet i swa rusinska fryzura à la bohémienne podciał krótko na sposób mazurski. Wstyd mu było, żeby go palcami nie wytykano — wóć przecież i Weronka czasem patrzyła na niego. Razu pewnego w niedziele Walek formal znalazł go znienucka w stajni, jak końskim zgrzeblem czesał starannie swoja czupryna. Walek wsadził głowę do stajni ciekawie.

— Haligantujesz się?

Michałko nie, tylko otworzył gębę.

— Posmaruj se jesse hyry oliwa od maszyny, będzie po pańsku — pomada!

— Idź na sztyry wiatry — była lakoniczna odpowiedź z głębi stajni.

Walek się oddalił śmiejąc się złośliwie.

— A już to te mazury — mówił do siebie Michałko — prysiej Bohu do czolowika niepodobne. Takie to wszystko zle, a zaczepne, a niezdobne. Czemu to ta dziewczczynina nie jest taka? Bo pewnie nie mazurka, tak jak i ja nie mazur; a oni

na słość male nazywaja kulasem, a ja «Woronka». No, no, «pei wiry», choć ona «Woronka», lepsza ona niż wszyscy razem, i żeby jej tu nie było, posiadlibym w świat, nie czekając nawet na buty, co mam dostać na S-go Michala».

Nadzedł nareszcie dzień S-go Michala, a Michałko dostał pierwszy raz w zyciu nowe buty. Gdy przymierzając włożył je na nogi, zdawało mu się, że cały Ciepłow patrzy na niego: i ludzie, i drzewa, i kury, indyki, a wazytko woła: aj, jakie Michałko ma śliczne buty! Aż mu serce bilo z radości. Jak na toż siwa kobyła zarżała. «Rzyj, nieboże, rzyj, a ja mam nowe buty». Trzebaż się było sprezentować w kuchni: biegnie tam zdyszany. Weronka siedzi i drobi kłaski.

— Aj, Michalku, a tobie co takiego?

Michałko nie, tylko radośnym wzrokiem spojgłada to na buty, to na Weronkę, to na buty, to na Weronkę. Nie wierzy sobie jeszcze: biegnie nad staw, zobaczyć w wodzie, czy to prawda, że on ma takie ładne nowe buty. Prostatje szyje, zadziera brodę, podnosi prawa nogę, — o, śliczne! podnosi lewą. — o, ładne! A, jakiz ja teraz pan! — Aż tu idzie Józrowa: «Józrowa, patrzajcie, ja mam bity nowe». Idzie Burek: «Burek, patrzaj, ja mam buty nowe» — woła machinalnie. Do kuchni już idą parobcy na obiad. «Oto dobrze, pójde-ż im wszystkim pokaże». Tylko wchodzi do kuchni, a tu Bartek, niezgrabna, nadeptuje go na palec, aż syknał z bólu.

— Aj — o! czyś ślepy, balwanie, nie widzisz że... mam buty nowe!

Gdy nareszcie spostrzegł, że buty już w nikim zajęciu nie budza, zdjął je ze czcżą i otarłszy z pyłu i owinawszy w szmaty, schował do skrzynki. Ale wieczko skrzynki odchylało się jeszcze i przymykało do samego wieczora. Gdy już parobcy spać się pokładli, obchodzil jeszcze ekonom zabudowania z latarką w ręku. Wchodzi do stajni: wiara chrapie jak susly, Michałko siedzi na skrzynce.

— Co ty tu robisz, czemu nie spisz?

— A jak złodziej ukradnie?

— Co ukradnie?

— A buty!...

— Idź, idź spać, durniu, — rozesmiał się ekonom.

Michałko rad nie rad położył się na słoie, stawiając skrzynkę w głowach. Ale zasnąć nie mógł. Snuły mu się po głowie różne myśli i smutny i wesole. Przypomniały mu się dawne jego czasy, jego wioska rodzinna, jego karna chata, i ta cerkiewka drewniana, i ten w niej jęomość taki «syweńki, syweńki, jak holub». A na «welyk dań» jak to ludzie śpiewali: «Chrystus wskres...» — śpiewali tak ślicznie, «oj!» a i on śpiewał także. Oj, żeby tak wiedzieć drogę, jakżeby on chciał tam powrócić!...

— A Weronka?

Przyszła mu teraz na myśl Weronka. Przypomniało mu się jak to ona go od psów bronila, jak się za nim wstawiała, jak była zawsze dobra dla niego, jak dla brata. Ot, chodzila do Koźlej. Woli na odpust, przyniosła mu «mentalik», była na jarmarku, przyniosła «kolacza». A ja co jej dałem? Nie mam ani grosza: mentalika jej nie kupię, wstażki nie kupię, kolacza nie kupię. Coż jej dam, ja biedny?...

— «Buty jej dam!» wpadł na świetny pomysł.

Ta myśl zajęła mu reszte noey podczas snu nawet.

Caly dzień nazajutrz zbierał się, caly dzień, przemyślał, jakby tu wręczyć Weronce ten dar wspanialy. Wieczorem dopiero zdobył się na odwagę.

— Weronko, na, masz buty, to odemnie.

Weronka popatrzyła dużemi oczami, myślała że ona żartuje.

— I doprawdy, Weronko: ty taka dobra, a co ja ci dam?

I śmiech i żal zrobił się Weronce.

— Ale, Michalku, masz jedne buty, mnie nie trzeba.

— Woź, woź, czoboty, moja śliczna, — nalegał Michałek.

Weronka nie mogła go się ani rusz pozbyć.

— Eh, odcep się, nie chcę twoich butów: pewnie jedna cholewa krótsza.

Na taką znie wagę wyrządzoną butom Michałkowi lzy zakryciły się w oczach. Siadł smutnie na lawie i postawił buty kolo siebie.

— No, no, nie gniewaj się «chrobaku», ja cie i tak lubię — rzekła Weronka i aby go pocieszyć objęła go jedną ręką, a drugą po twarzy głaskała. Michałkowi tak przypadł do serca ten kares Weronki, że aż ją ukłusił w ramie przez rękaw perkalowy.

Od tego czasu Michałko posmutniał bardzo: «Nie chciała butów odemnie, a co jej dam?» mówił do siebie. Jakkazoz jeszcze i ten Kasik od niedawna tak się przysnwa do Weronki, i szpece jej coś do ucha, i śmieje się do niej. Michałko nie lubił Kasika, «bo to—ti buw sprawiedliwyj, mazur, takij szczo czolowika kusaje».

— Co on tu lezie? — myślał Michałko? czy on nie wie, że Weronka moja?

Ohmurzył się więc na Kazika i szukał zaczepki. Starł się też niebawem objąć przy misce: Michałko nie wytrzymał, szturchnął łokciem w bok Kazika.

— Czego się bijesz?

— A ażo mi liziesz?

— Ty, kulasio!

— Ty makabundo, zawaładrogo!

— Mysiu borowy, rusinie z carnem podniebieniem.

— Ty mazurze, ty jakęś się wrodził, toś dźwieć dył nie widział!

Omal nie przyszło do bitki, lecz baby wzięły w obronę Michałka.

Michałko był wciąż smutny. Spozrzegła to i Józkowa, że gdy siedzi przy stole, ani się na nią spogląda, ani na dziewczynę, ani się odezwie, tylko nosem «myrga».

— Michałku—zagadala raz Weronka: czegoś taki niewesoły?

Machnął ręką—«Et...»

— Nie smuć się—rzekła—jak będę w mięście kupię ci kołacz.

— A ja co ci dam?—wybuchnął z zalem:—Kazik ci kupi wstążkę, a ja co ci kupię?

— Kupis, kupis, jak będzie fornałem, jak ci zapłaca.

Michałkowi aż się oczy rozesmiały, że kiedyś może być fornałem tak jak Kazik, a kto wie, może i karbowym. «Oj to bym wtedy bil Kazika... ażbym ztąd wycwał!».

Michałko chciał oczywiście zostać fornałem. Dotychczas był on do mniejszych posług używany przy domu i w stajni. Ale dnia pewnego prośbami i naleganiami wymógł na ekonomie, że go do pomocy przy maszynie wzięto. Wygramolił się tedy na wierzch młockarni i snopki podawał.

— Ho—he,—myśli sobie Michałko,—już mi do fornaństwa niedaleko.—A tu warczy maszyna, skrzypią koła, huczą pasy, mieszają się stukot cepów z nawoływaniem, «hou, hou» fernali w kieracie. Michałko zboże podaje do maszyny. Idzie mu to nie bardzo zgrabnie: zwyczajnie powolny rusin i do tego kaleka. Ale Michałko ma być fornałem, a więc Michałko pracuje co sil starczy, a pot mu się leje aż na brodę.

Tymczasem skrzypnęły drzwi od stodoły, wezła z opalką Weronka po plewy dla trzody. W tej chwili wprawne ucho karbowego, co stał na dole, zauważyło, że młockarnia pusto chodzi.

— Zboże podawaj! krzyknął na Michałka. Michałko nie słyszał, tylko widział, że Weronka plewy bierze. Przyskoczył karbowy i swą niedźwiedzią łapą «lnnął» Michałka w otwarte usta. Michałko stoczył się na dół. Maszyna stanęła.

— A ci nie wolno, nie śmiaż bić w pyski!—wrzasnął Michałko, próbując się dźwignąć na nogi,—niestety, kulni nie było.

— A ty, psie z czarnem podniebieniem, ty mi tu benziesz...—i zaczął okładać nieboraka własną jego kulą.

— Jój!... jój!—jęczał Michałko—pójdę do pa... jój! Weronko!

Nie nie pomogło. Karbowy, mszcząc się za swój obrażony «oner», tak potłukł biednego chłopaka, aż go nieprzytomnego zaniesiono do izby.

— Zabił, zabił człowieka — lamentowała Weronka.

Nie zabił jednak, nie zabił, jeszcze gorzej jak zabił, bo Michałko gdy otworzył oczy, dowiedział się, że dochtór kazał trzy tygodnie leżeć. «Jój!» uchwycił się za głowę: «za trzy tygodnie może-bym już był fornałem».

Tak tedy przez trzy tygodnie leżał Michałko w samotnej kuczy i czekał zmiłowania bożego. Odwiedziła go czasem Weronka, czasem i kołacz przyniosła. «Lepiej ci Michałku?» — «Lepiej», odpowiadał smutno, i tyle rozmowy. Przynoszono mu jeść trzy razy dziennie, a zresztą nikt się o niego nie troszczył w całym folwarku. Jeżeliby zachorował Bryś lub Burek—a nie był chory na wódowstręt lub nosaciznę, dawanoby mu jeść także, jeżeli nie trzy, to dwa razy dziennie. Michałko sam się pocieszał i prosił Boga, aby jak prędzej wyzdrowieć, a fornałem zostać.

Tymczasem w Ciepeliowie zaszły wielkie zmiany. Zdechł Burek, spalila się karczma na wygonie, karbowego przeniesiono na inny folwark, a do Weronki przysłał się Kazik. Michałko nie o tem nie wiedział. Gdy on leżał bezprzytomny, prześcianał od niego leżała maszyna z narzędziami. Weronka nawet nie powiedziała, bo i jakże powiedzieć? Panna młoda nie mówi o swem weselu: nie wypada jej mówić! Józkowa chciała powiedzieć, świątobial ją język, ale jej już głowa na starość «skolowaciała»: zapomniała na śmierć. Kazik, co się przysłał do Weronki, był to «śliczny kawalir». Miał czerwoną wstążkę pod szyją, miał siwą czapkę baranią i buty z podkówkami. Kazik najlepiej wycinał «bertasa», — a jak-ci się zakręci w karczmie, jak przytulnie, jak ci zakuchnie!

Hoj, hoj, hoj!
Leć kacor z jój,
Kacorzycia ze stawiska:
Nie odwracaj ścierła zol, pyska,
Bo ci bandzie zol, zol, zol!...

to-ci tak wszystkie dziwki zerkały, a śmiały się do niego. Weronce on się «spodobal» bez kwestyi, ale, czy go kochala, o tem nikt nie wiedział, ona-sama nawet. Wiedziała tylko, że idzie za męża, i, co najważniejsza, za gospodarskiego syna.

Gdy Michałko wyrzwał na świat boży, słyszy, że gadają o jakimś weselu.

— O czy... czyjem-to weselu—gadacie, Józkowa? — pyta Michałko, który się jękał od czasu choroby.

— To ty nie wiesz! Dyc Weronki.

— At, z gęby lecaj otręby — mruknął Michałko, który nie zawsze wierzył gadaniu babkiemu: «gdzieby tam Weronki. To dopiero jak ja fornałem zostanę».

Ale wieść nie ustaje, co tylko żyje, gada o weselu.

— Co ci będzie gospodynia!

— Ojcowie dają im pół gruntu i pół chałupy,

— I krowę «graniastą».

— Komu krowę? kto się żeni?—dopytuje się Michałko.

— Kazikowi—powiadają—Kazik się żeni.

Michałko pobladł jak płótno na jego parciance. Czyżby Kazik nie wiedział, że Weronka moja, czyż on mi ją chce odebrać, ten pijak, ten hulaka?

— A—a, niedoczekanie twoje!—zawołał i zacisnąwszy pięści poszł do Kazika.

— Ty, ty zło...o...dziedzju, pi...pi...jaku! — woła trzęsąc się jak w febrze i wymachując kulaktem: «moja Weronka... nie dam... zabiję cię, jak psa».

— To zgnijesz, w kryminale—odrzekł z zimną krwią Kazik, puszczać dym z fajki.

— Ty... ty sam w kryminale... ty mi ją wydzierasz...

— A czy ja ją silował? Chce mnie, idzie za mnie i basta.

Michałko pobiegł do Weronki. Szarpnął drzwi i wpadł do kuchni jak burza.

— Święty Boże, a jemu co?—wola Józkowa— a o kiejby «rziubak» spłoszony.

— Powiada, Kazik—rzekł zdyszany—ze... że ty się z nim ożenisz... a—a żeby on zmarł!

Weronka pochyliła się nad skrzywią i cosik strasznie szukała, nie odwracając głowy do Michałka.

— Ale ty nie pójdziesz za niego? a ja co bym robił, sierota. A jak ja będę fornałem—rzekł pochyłając się do niej—zara jak będę fornałem.

— A kiej już zapowiedzi wyjstły — bąknęła Weronka.

— I ja dam na zapowiedzi.

— Jutro będziecie się spowiadali...—szepetała coraz ciszej.

— I ja się wypowiadam... ty nie jego, ty moja: ja się z tobą ożenię, ja przysiaham na toje!

— A co-by ja chudziina robiła z taką kaliką!... wybuchnęła głośnym przeciągłym płaczem.

— A jużci z rusiniskiem do tego — wtrąciła Józkowa.

Michałko zachwiał się na nogach, drżał on jak listek. Nie wymógł już słowa.

Nazajutrz młoda para była w spowiedzi. Michałko był tu jeszcze pierwsi i także się spowiadał. Gdy dobrodziej poszli na śniadanie, Michałko wsunął się na plebanję i padł płacikiem do nóg dobrodziejza.

— A co tam chłopcze?

— Jegomościuniu—rzekł lkając—nie dawajcie mi szlubu, to hycel, pijackisko.

— Kto taki?

— A wo, Kazik. Jegomościuniu mnie dajcie szlub, bo Weronka moja.

— Moje dziecko, ja tu nie poradzę: ich taka wola.

Michałko poszedł niepokieszony do domu. Pobiegł do rzadcy, nie został go w domu, pobiegł do ekonomy—lecz rozmyślił się i od progu powrócił. Chciał się poradzić kogo ze służby—śmieli się wszyscy z niego.

— Hospody Boże—mruzczał, siedząc samotnie nad stawem—mazury wszystko, mazury i mazury.—Brysiu! — zawołał zobaczywszy psa—dobryj Brysiu, chojci tu do mene.

Bryś przeciągając swa leniwe cielsko, przyszedł poważnie do Michałka, wsparł swe przednie lapy na jego kolana, a wywieszonym ozorem dotykał prawie jego twarzy. Tak patrzył swemi mądremi oczami, jakby mówił.

— Oj, Brysiu—zalił się Michałko—ja biednyj syrotina, ja nikoho, nikohusienko na światu ne maju, Brysiu, hocz ty potisz mene—hu—hu—hu.—objął pyska za szyję, tuląc się do niego i zachodząc się do płaczu.

Na folwarku nie wiadano gdzie się podział Michałko. Chodzą, wołają, Michałka jak niema, tan niema. Znajdują nareszcie nad stawem.

«Michałku, wołają—chodź, nagrzej się w kuchni, Michałku czyś głuchy?»

Michałko nie nie odpowiada.

Tak pozostał i siedział późno w noc na chłodzie i ściecie, dopiero nad ranem sen go zmorzył. Ach, jakie straszne widziadła! Dopiero spada z wierzchu stodoły, już topi się w stawie, już wali się nań baszta pałacu... to znowa wyrwa się z pod gruzów i pędzi jak wichur przez pustę pola... a tam patrz, patrz... jego cerkiew, jego cerkiewka! Ale na cerkwi jak las jaki wyrastają wieże, cerkiew zrywa się i płynie w powietrzu między czarnymi chmurami, a dzwony biją tak głośno.

— Boże! ileż tu dzwonów. Setki, tysiące... Zapala się cerkiew i szeroką łuną ogarnia pół świata. A tam Kazik bije związaną Weronkę... Michałko chce biedzą na pomoc, lecz jemu mazury odrywają ręce—odrywają nogi.

— Weronko nieszczastna! krzyczy Michałko i obudza się we łzach i pocie rzęsatym, a tu Józkowa ciągnie go za rękę:

— Wstań Michałku, chodź do kuchni bo zimno.

Michałko się nie może upamiętać.

— Cichaj, cichaj chrobacku, o, o, jest czego płakać, znajdziesz se insą, ładniejszą.

Pociągnęła go do kuchni. Był już dzień biały. W kuchni gwary, śmiechy i śpiewy. Weronkę ubierają družki. Pełna izba ludzi.

Michałko siadł jak ciężkie drewno na ławie, podpierał się na łokciach i schował twarz w dłonie. Weronka się odwróciła i otarła izy fartuszkciem. Lecz na to nikt nie zwał: pannie młodej wszak wypada płakać. Poczęła ona obchodzić schyłki z kolei, prosząc o biogostawieństwo. Wszylitli się i przed Michałkiem. Zerwał się z ławy z dzikim wzrokiem i pochwylił nóż kuchenny ze ściany.

— Zariż mene... probuj mene!...—krzyknął jak szalony. Weronka uciekła chowając się za družki.

Cisza zaległa izbę: zdała ozwały się tony muzyki.

— Młodego, młodego prowałza—zawołano.

Otwaryli się drzwi. Wprowadzono młodego. Zagrzmiiała muzyka, poszedł w koleżki kieliszek.

— No, dzieci—ozwał się po chwili starosta weselny, zbierają się: dobrodziej ceka.

Już wyszli weselnicy i posiadali na wozy, już wozy ruszyły z miejsca, gdy na raz Michałko jak szalony wyrwa się—i w pogon za nimi.

— Oddajcie moją Weronkę! woła wyciągając ręce.

Śmiech mu odpowiada z wozów.

— Lajdaki—woła—ja was nie puszcę, ja na gwałt będę dzwonił.

Ale wozy już daleko, a Michałko na swej kuli dogonić ich nie zdola.

— Mamuniu ridna—wola z rozpacz—czołhoš mene na swit wydała... zemlo świataja, rozstupy sia podomnoju.

— Widzita, widzita—śmieją się z niego—jak on skace, kieby zajac: skik—bach... skik—bach.

Michałkowi blysnął ostatni pronyk nadziei.

— Buty moje dam jegomości, to i zapowiesz ogłosi i szlub da, wrócę po buty i jeszcze zdąję. Zawrócił i co siły starczyło poskakał na folwark.

.....

Uroczysta cisza zaległa kościół. Ksiądz odbierał przysięgę święta. Naraz: bam—bam—bam, przerywane uderzeniu dzwonu ozwały się z dzwonnicy.

— Ruszaj no Kuba—rzekł starosta—i powiedz temu durniowi, co dzwoni, że mu kijem kości polamię.

Kuba biegnie na dzwonnice.

— A, to wy Maciejju? czego dzwonnica.

— Nie widziś?

— Jezus! Marya! — krzyknął Kuba. Palły się zabudowania Kazika.

Michałko przepadł bez wieści.

Biurow ogłoszeń i publikacji Rajchmana i Frendlera w Warszawie, przeniesionem zostało na ulicę Senatorską № 18. Tamże mieści się kantor filijalny tygodnika „KRAJ”. (18-1-1)

38 TROICKIJ PER. 38

Skład — Znamienskaја ulica, № 32,

CENNIK

Troickiej fabryki sztucznych wód mineralnych (z dost. do miezk.)

1 syfon wody salcerskiej	10 k.
25,2 but. » sodowej	1 r. 13 »
25 » limonjady	1 » 75 »
25 » wody frukt. lub jagod.	2 » 50 »
25 » » » ze azn. pirof.	1 » 75 »
25 » » » Vioby	2 » — »

Za butelkę zostawia się kaucyя 2 k., za syfon po 1 rs. (18-2-2)



